ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 2/-

ROK X. Nr 13 (457) Nr 14 (458)

NIEDZIELA 25 MARCA i NIEDZIELA WIELKANOCNA 1956 R.

VIR DOLORUM

Prawdziwie choroby nasze On nosił, i boleści nasze On wziął na Siebie; a myśmy Go poczytali za trędowatego, i od Boga ubitego, i uniżonego.

Lecz On zranion jest za nieprawości nasze, start jest za złości nasze; kaźń pokoju naszego z Nim, a sinością Jego jesteśmy uzdrowieni.

Wszyscy my jako owce pobłądziliśmy, każdy na swoją drogę zeszedł; a Pan położył nań nieprawość wszystkich nas.

Ofiarowan jest, gdyż sam chciał.

Wydał na śmierć duszę Swoją i ze złoczyńcami jest policzon; a On grzechy wielu poniósł i za przestępców się modlił.



RESURREXIT

Wszystkie narody, klaskajcie w dłonie,
Wykrzykujcie Bogu głosem radosnym!
Bo Pan najwyższy i straszliwy,
On Król potężny wszystkiej ziemi.

Bóg idzie w chwale wśród radosnych pieni
I Pan wstępuje przy odgłosach trąby.
Śpiewajcie Bogu, śpiewajcie,
Śpiewajcie Królowi naszemu, śpiewajcie.

Gdyż Bóg jest Królem wszechświata:
Śpiewajcie pieśni pochwalne!
Pan ludy wszystkie wziął w swoje władanie,
Bóg na przeświętym zasiada już tronie.

(w tłumaczeniu ks. St. Wójcika)

Uniżył samego Siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci, a była to śmierć krzyżowa. Dlatego i Bóg wywyższył Go, i nadał Mu imię przewyższające wszelkie imię, aby na Imię Jezusa zginało się wszelkie kolano mieszkańców niebios, ziemi i podziemia, i żeby wszelki język wyznawał, że Jezus Chrystus jest Panem w chwale Boga Ojca.

A myśmy się chlubić powinni krzyżem Pana naszego Jezusa Chrystusa; w Nim jest zbawienie dla nas, życie i zmartwychwstanie; przez Niego zbawieni i oswobodzeni jesteśmy.

*

Niech Ci będzie chwała, cześć i sława, Chryste Królu Odkupicielu: Tobie chłopiąt grono Hosanna pobożnie śpiewało.

Lud izraelski wyszedł z palmami naprzeciw Ciebie: my zaś stoim przed Tobą, niosąc Ci dary, modły i hymny.

Niech Ci będzie chwała, cześć i sława, Chryste Królu Odkupicielu: Tobie chłopiąt grono Hosanna pobożnie śpiewało.

Oni Cię wielbili zanim mękę cierpiałeś, my królującemu Tobie śpiewamy.

Niech Ci będzie chwała, cześć i sława, Chryste Królu Odkupicielu: Tobie chłopiąt grono Hosanna pobożnie śpiewało.

Oni się Tobie podobali, niech również miła Ci będzie pobożność nasza: Królu dobry, Królu miłościwy, który w dobrem podobasz Sobie.

Niech Ci będzie chwała, cześć i sława, Chryste Królu Odkupicielu: Tobie chłopiąt grono Hosanna pobożnie śpiewało.

*

Chrystus wczoraj i dzisiaj
Początek i Koniec
Alfa
I Omega.

*

A oto stało się wielkie trzęsienie ziemi. Anioł bowiem Pański zstąpił z nieba i przystąpiwszy odsunął kamień i usiadł na nim. I było wejrzenie jego jako błyskawica, a szata jego jako śnieg. A z bojaźni przed nim przerazili się strażnicy i stali się jakoby umarli.

Maria Magdalena i Maria Jakubowa i Salome nakupiły wonności, aby pójść i namaścić Jezusa. I bardzo rano w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A mówiły do siebie: Któż nam odsunie kamień od drzwi grobowca? I spojrzawszy, ujrzały odsunięty kamień. Był bowiem bardzo wielki. A wszedłszy do grobowca, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą, i zdumiały się. Ale on rzekł im: Nie lękajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz Go tu.

*

Powstałem żywy i już zawsze z Tobą jestem, alleluja: włożyłeś na Mnie wszechmocną rękę Twoją, alleluja: przedziwna jest wiedza Twoja, alleluja, alleluja.

Resurrexi, et adhuc tecum sum, alleluja.

*

Oto noc, która dzisiaj na całym świecie wierzących w Chrystusa, oddzielonych od przewrotności świata i ciemności grzechu, przywraca do łaski i w społeczności świętych gromadzi.

Oto noc, w której Chrystus, pokruszywszy więzy śmierci, zwycięzcą wyszedł z otchłani.

O nocy zaprawdę błogosławiona, ty jedna znasz czas i godzinę, w której Chrystus zmartwychwstał.

Oto noc, o której napisano: A noc jako dzień zajaśnieje i noc światłością mi będzie w rozkoszach moich. Przeto świętość tej nocy zbrodnie wypędza, zmywa grzechy i upadłym niewinność, a smutnym radość przywraca. Rozprasza nienawiść, zgodę gotuje, mocarstwa ugina.

Noc, w której się jednoczy co niebiańskie i ziemskie, co Boskie i ludzkie.

*

Oto dzień, który nam Pan zgotował: weselmy się i radujmy się weń.

Alleluja, alleluja. Pascha nasza ofiarowan jest Chrystus.

Pascha nasza ofiarowan jest Chrystus, alleluja: świętujmy przeto w przaśnikach czystości i prawdy, alleluja, alleluja, alleluja.

*

Gdzie jest miłość wzajemna i jednomyślność, tam [jest Bóg.
Zgromadziła nas w jedno miłość Chrystusowa.
Radujmy się i w Nim znajdujmy rozkosze nasze.
Lękajmy się i kochajmy Boga żywego.
I szczerym sercem miłujmy się nawzajem.

Gdzie jest miłość wzajemna i jednomyślność, tam [jest Bóg.
Tedy więc gdy się w jedno zgromadzamy,
Strzeżmy się tego, co rozdziela dusze.
Niechaj ustaną niesnaski złośliwe i spory.
Niechaj Chrystus Bóg będzie w pośrodku nas.

Gdzie jest miłość wzajemna i jednomyślność, tam [jest Bóg.
Daj nam tedy widzieć wraz z Świętymi
Chwalebne oblicze Twoje, Chryste Boże.
Daj nam radość niezmierzoną i czystą.
Przez wszystkie wieki wieków. Amen.

*

Jak jeleń spragniony dąży do źródeł wodnych, tak dusza ma tęskni za Tobą, Boże.

(z tekstów liturgicznych na Wielki Tydzień i Niedzielę Wielkanocną zestawił W. Jelonek)

SZTUKA W LITURGII

Podajemy główne myśli odczytu p. Haliny Żeleńskiej, wygłoszonego w kole pań P. K. S. U „Veritas“.

Zastanawiając się nad bogactwem przejawów sztuki, związanych z liturgią, musimy oceniać je nie tylko z punktu widzenia czysto estetycznego, lecz jako związane ściśle z rzeczywistością przeżyć religijnych, z których wyrasta ich właściwe piękno, przenikające całe życie ludzkie.

Epoki, w których społeczność chrześcijańska ściśle związana była z liturgią, to jest z hołdem składanym Bogu — odznaczają się sztuką o najbogatszym wyrazie tak formy jak i treści wewnętrznej. Przy upadku sztuki widzimy osłabienie życia liturgicznego.

Nie wszyscy rozumieją, dlaczego taki przepych barw, kształtów, taka różnorodność gestów, wyobrażeń itd. towarzyszy czci oddawanej przez ludzi Bogu, któremu, zdawałoby się, ceremonie liturgiczne nie są potrzebne.

Odpowiedzi szukać należy w samej istocie natury ludzkiej.

Kościół na Soborze Nicejskim w roku 787 określił stosunek duszy i ciała w ten sposób, że dusza, chociaż niezależna od ciała w swoim istnieniu i władzach rozumu i woli — jest zjednoczona z ciałem. Dusza i ciało składają się na całość natury ludzkiej i zjednoczone, powinny współpracować ściśle ze sobą, by człowiek-stworzenie osiągnął przyrodzoną sobie postawę wobec Boga-Stwórcy. Postawą tą jest wielbić Go w całej pełni i prawdzie swej natury.

Każdy świadomy czyn ludzki już przez samą naturę, z której wypływa, mieści w sobie element i duchowy i materialny. Wielbiąc więc Boga, wielbimy Go w czasie, w przestrzeni, przez tysiące znaków zewnętrznych materii, z której zbudowane jest nasze ciało. A że człowiek posiada zdolność twórczą porządkowania naturalnych elementów materii tak, aby łączyły się w harmonijną całość, z której rodzi się piękno — dzieło sztuki, sztuka zostaje wciągnięta w orbitę życia religijnego ludzkości. Związek sztuki z liturgią poza tym wynika z głębszej jeszcze rzeczywistości. Liturgia opiera się na prawdzie i wie, że tak jak dusza ludzka ożywia ciało, tak samo za każdą formą materialnego bytu kryje się treść wewnętrzna. Sztuka szukając prawdy przez piękno — odkrywa wewnętrzne znaczenie materii.

Liturgia i sztuka mają wspólny język. Obie rozumieją wymowę symboli.

Symbol powstaje wówczas, gdy jakaś treść wewnętrzna znajduje swój pełny, jedynie jej odpowiadający obraz w świecie materialnym, zewnętrznym.

Symbol więc oparty jest o rzeczywistość widzialną i niewidzialną. Św. Paweł mówi, że niewidzialne przymioty Boga oglądamy przez zrozumienie tych rzeczy, które są uczynione.

Posługiwanie się symbolem jest wrodzone naszej naturze. Człowiek poznaje rzeczywistość przez bezpośrednie doświadczenie zmysłów, przez rozumowanie umysłu, oraz przez myśl intuicyjną, intuicję, której poznanie jądra prawdy przez symbol, przemawia wprost do naszej świadomości omijając mozolność rozumowania. Taki intuicyjny chwyt prawdy posiada twórczość artysty.

Ponieważ symbol przemawia do głębi naszej istoty, wspólnej wszystkim ludziom — dlatego znalazł on swój najpełniejszy wyraz w liturgii, przez którą pozwala nam wniknąć w tajemnice wiary. Na przykład: chleb i wino Ofiary, zanim staną się Ciałem i Krwią Pańską, mówią o zwykłym, podstawowym pożywieniu człowieka, koniecznym dla podtrzymania życia. Są naturalnym płodem ziemi, więc darem Bożym. Lecz równocześnie owocem pracy człowieka na roli dla wspólnego dobra społeczności. Chleb i wino są więc symbolem życia, obejmującego całą ziemię, pełne jej owocowania, człowieka i całą rodzinę ludzką — wszystko to, co mu jest poddane i za co jest odpowiedzialny, czyli całość stworzenia. I to wszystko w chwili przeistoczenia staje się Ciałem i Krwią Chrystusa. Najskromniejszy posiłek — i cały wszechświat. Świat materialny przemawia nagle innym głosem: uświęcony, wypełniony duchem, zamieniony w hymn chwały.

Ponieważ liturgia jest aktem, działaniem organizmu Kościoła, więc jest ona życiem, które rodzi piękno, które staje się nauką. Najwyższą syntezę całości życia zbudował w Kościele Duch Święty, łącząc formę artystyczną z życiodajną rzeczywistością.

Piękno jest blaskiem prawdy. Lecz, aby mogło się objawić, przedtem musi istnieć jakaś podstawowa prawda, którą chcemy ucieleśnić. Bo prawda jest duszą piękna. Artysta nie zawsze sobie to uświadamia, ale twórczość jego temu prawu podlega.

Liturgia żyje prawdą, chodzi jej jedynie o rzeczywistość, o kontakt człowieka-stworzenia z Bogiem. Liturgia, modloną prawda, wciela rzeczywistość Bożą w czynie liturgicznym, ujawnia ją i przekazuje ją nam w słowie, geście i symbolu.

Żyjąc pełnią wiary przez modlitwę liturgiczną, człowiek też żyje pełnią własnego życia. Poprzez ludzi, którzy nasycają się prawdą — przenika ona w ich dzieła i rodzi piękno. Wyraża się ono jasno i prosto w całym wysiłku kulturalnym, w mądrości praw, w głębokości myśli, w obyczaju, w sztuce.

H. Żeleńska

ET RESURREXIT TERTIA DIE

Pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego, tego zdumiewającego i — jak pisze Bossuet — „centralnego wydarzenia historii“, obchodzą ludzie pełni jakiejś istotnej radości, nawet nieraz nieświadomie uczestnicząc w wielkiej tajemnicy Bożej ku nam miłości.

...„trzeciego dnia zmartwychwstał“... powtarzamy codziennie w pacierzu, nie zdając sobie sprawy z głębi znaczenia paru słów, tak pełnych nadziei jak żadne inne na świecie.

Święto Zmartwychwstania jest najstarszym i największym świętem w Kościele: do niego nawiązuje każda niedziela i święto roku kościelnego. Zasadnicza myśl Odkupienia, którego Zmartwychwstanie jest koroną, rozszczepia się, jak światło w pryzmacie, na wiele uroczystości, coraz to inaczej ujmujących zbawcze dzieło Chrystusa Pana. Fakt Zmartwychwstania jest fundamentem naszej wiary, a Zbawiciel Zmartwychwstały jest głównym ośrodkiem życia chrześcijańskiego.

Aby to zrozumieć, trzeba sięgnąć do podstawowych myśli dogmatu o Odkupieniu. Ze śmiercią swą Chrystus Pan swego dzieła zbawczego nie zakończył. Jak grzech praojca Adama nie mógłby nam zaszkodzić, gdybyśmy od niego wszyscy nie pochodzili i po nim nie dziedziczyli, tak i Chrystusowe posłuszeństwo nie przyniosłoby nam żadnego pożytku, gdybyśmy nie mogli po Nim tej sprawiedliwości w jakiś sposób dziedziczyć. Dlatego Chrystus Pan chciał wstać z martwych, objąć w posiadanie swe uwielbione ciało i posiąść żywot chwalebny w niebie, aby jako uwielbiony Zbawca połączyć się z nami i w ten sposób przyswoić nam Odkupienie.

A zatem nie Wielki Piątek ale Niedziela Wielkanocna jest naszym świętem Odkupienia. Luter twierdził, że zasługi Chrystusowe są nam zewnętrznie przypisane, jakby doliczone do naszej grzeszności, która nadal pozostaje. Lecz Kościół nasz naucza, że one stają się naszą własnością, tak iż mamy w nich rzeczywisty udział.

Od Chrystusa dziedziczymy bowiem stan miłości Bożej, synostwa Bożego. Każdy z nas musi się narodzić z Chrystusa i nawiązać z Nim swą łączność przez łaskę. A na to trzeba Odkupiciela żyjącego i to żyjącego innym życiem, niż to, które wiódł, gdy żył wśród nas. Aby się z nami połączyć i obdarzyć nas życiem w chwale wiecznej, bierze Zbawiciel swe uwielbione ciało — przez Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie. Żegnając się z uczniami swymi w Wieczerniku Chrystus Pan zapewnił ich: „Nie pozostawię was sierotami, przyjdę do was. Jeszcze niedługo, a świat mnie już nie ujrzy. Ale wy mnie widzicie, bo ja żyję i wy żyć będziecie. (...) Odchodzę i przychodzę do was“. (Jan, 14; 18-19, 28.) Tak Chrystus stał się drugim Adamem, nowym prarodzicem rodzaju ludzkiego, który zrodził nas do nowego życia w Bogu.

Dopiero Zmartwychwstanie dokonuje w nas pełni Odkupienia, przekazując nam jego skutki. Stajemy się wewnętrznie sprawiedliwymi i świętymi, bo zasługi Chrystusa nas przenikają i wewnętrznie odradzają. On je nam wciąż oddaje w Chrzcie św. i w każdym innym Sakramencie. W ten też sposób jest On głową swego Ciała Mistycznego — Kościoła, którego my jesteśmy członkami.

Śmierć i życie stoczyły ze sobą walki dziwne:
Umarły życia wódz — rządzi żywy

głosi stara sekwencja wielkanocna „*Victimae Paschali*“, a prefacyjny śpiew w tym dniu niesie hołd Temu, który „*śmiercią swoją, śmierć naszą zwyciężył i zmartwychwstaniem życie nam przywrócił*“.

Nie cierpienie zatem, ale życie zmartwychwstałe było celem Odkupienia, jakkolwiek do tego życia dochodzi się przez krzyż. Nie można dzielić radości zwycięstwa bez udziału w walce, która do tryumfu prowadzi. Święto Zmartwychwstania jest świętem istotnej radości i prawdziwej chrześcijańskiej nadziei, zapatrzonej w ostateczny tryumf prawdy i sprawiedliwości.

Z przepełnionego wielką radością wiernego serca śpiewa Kościół w Polsce w przepięknym responsorium „*Cum Rex gloriae*“ podczas Rezurekcji:

Witaj, dniu najbogatszy w nieśmiertelną sławę,
W którym Pan zgromił piekło, wziął niebo w dzierżawę.
To głosi z grobu wiosną świat zbudzony cały:
Zmartwychwstałego Pana wita zmartwychwstały.

NIC TRWAŁEGO NIE BUDUJE SIĘ NA PIASKU

PRZEMÓWIENIE PAPIEŻA PIUSA XII DO AMBASADORÓW W DNIU 4 MARCA

Panie Ambasadorze!

Słowa tak podniosłe i tak serdeczne, którymi Wasza Ekscelencja wyraził uczucia pańskich dostojnych Kolegów, są dla Nas hołdem szczególnie cennym. Podkreślona zostaje raz jeszcze pełna szacunku postawa, jaką Korpus Dyplomatyczny akredytowany przy Stolicy Apostolskiej po wielokroć razy zamanifestował w stosunku do Naszej skromnej osoby i korzystamy z przyjemnością z tej okazji, by wyrazić Naszą głęboką wdzięczność.

Zechciał Pan, Panie Ambasadorze, przypomnieć Nasze wysiłki na rzecz pokoju. Jest to zaprawdę jedna z Naszych najbardziej stałych trosk i od tego dnia, który nastąpił po Naszym wyborze na trudny urząd Najwyższego Kapłana, kiedy to w przemówieniu radiowym zwróciliśmy się do całego świata — aż do obecnej chwili nie zaprzestaliśmy wznosić do Nieba modłów i stosować wszystkich środków, jakie są w Naszej mocy, by zachęcić ludzi o wszelakich dążeniach i ze wszystkich krajów do szukania szczerze tego dobra duchowego, za którym tęsknią jednostki i ludy.

Pokój! Któż wypowie jego wartość i jego dobrodziejstwa? O gdybyśmy mogli byli wzbudzić w całym świecie żywsze jego pragnienie, tak, by jednostki i zbiorowości, aby go popierać, zachowywać i umacniać, zgodziły się na największe i najistotniejsze ofiary. Jakżeż chcielibyśmy, ażeby cenili go ludzie i narody ponad zadowolenie miłości własnej i ponad wszelkie własne korzyści! Jakbyśmy sobie życzyli, ażeby nacisk opinii światowej spowodował ustąpienie nierozsądnych zawad i uporów, by narzucił wszędzie konieczność polubownego rozstrzygania najbardziej zaznaczających się sprzeczności, zobowiązał do przyjmowania arbitrażów i kompromisów, dzięki którym można by uniknąć ogromu zła nie dającego się naprawić!

Często się słyszy głosy charakteryzujące, w pewnej mierze dodatnio, obecną epokę jako „drugą rewolucję techniczną“, a jednak pomimo perspektywy lepszej przyszłości, którą to określenie zdaje się zapowiadać, trzeba stwierdzić utrzymywanie się nieustającej trwogi, niepewności politycznej i ekonomicznej, zarówno u najbogatszych ludów jak w krajach zacofanych w rozwoju. Gorzkie doświadczenie wieku minionego wystarczyłoby na wytłumaczenie tego: czyż nie było wówczas tak jak i dzisiaj obietnic nastania świata ekonomicznie i technicznie doskonałego? Czyż nie zrodziły one okrutnych złudzeń? Przewroty społeczne, będące następstwem zastosowań nauki w duchu zbyt często materialistycznym, zrujnowały istniejący porządek, nie zastąpiwszy go lepszą i solidniejszą konstrukcją.

Kościół przeciwnie nigdy nie stracił z oczu potrzeb prawdziwych istoty ludzkiej i oddaje się misji zachowania prawdziwej trwałości jej istnienia. Wie on, że doczesne przeznaczenie człowieka znajduje swą sankcję i swe dokonanie w wieczności. Nie odrzucając zdobyczy nauki i techniki utrzymuje je na właściwym im miejscu i nadaje im sens prawdziwy: służenia człowiekowi bez narażania równowagi wszystkich związków, które stanowią osnowę jego życia: rodzina, własność, zawód, społeczność, państwo.

Opierać bezpieczeństwo i trwałość życia ludzkiego na czysto ilościowym powiększaniu dóbr materialnych — to znaczy zapominać, że człowiek jest przede wszystkim duchem stworzonym na obraz Boży, odpowiedzialnym za swe czyny i swoje przeznaczenie, uprawnionym do rządzenia się samemu i znajdującym w tym swoją najwyższą godność. Słusznie broni się tej wolności przeciwko przymusom zewnętrznym, przeciw zaborowi ze strony systemów społecznych, które ją paraliżują i czynią iluzoryczną. Lecz właśnie ten, kto prowadzi tę walkę, powinien wiedzieć, że ekonomia i technika są siłami pożytecznymi i nawet koniecznymi, jak długo pozostają posłuszne najwyższym wymogom duchowym; stają się jednak niebezpieczne i szkodliwe, gdy im się przyznaje nie przysługującą im przewagę i, by tak powiedzieć, godność celu samego w sobie. Rola Kościoła polega na tym, by troszczył się o poszanowanie w tym zakresie hierarchii wartości i podporządkowywanie materialnych czynników postępu elementom ściśle duchowym.

Państwa, które trzymać się będą polityki kierującej się tymi zasadami, zachowają wewnętrzną moc, wobec której wojujący materializm załamie się. Na próżno będzie czynił wysiłki, by przed oczyma ich migotał miraż fałszywego pokoju, na próżno będzie rościł sobie prawo do wskazywania drogi w ustalaniu stosunków ekonomicznych lub w wymianie doświadczeń technicznych. Oby ludy, które wstępują na tę drogę, mogły uczynić to z roztropnością i rezerwą, w dominującej trosce o zabezpieczenie porządku duchowego! Oby zdołały pamiętać zawsze o tym, że zwraca się je w kierunku, który sam przez się nie prowadzi i nie może prowadzić do prawdziwego pokoju! Formułki jak „jedność narodowa“ albo „postęp społeczny“ nie powinny w błąd wprowadzać; dla wojującego materializmu czas „pokoju“ nie przedstawia nic innego jak rozejm, rozejm bardzo niepewny, podczas którego oczekuje się załamania społecznego i ekonomicznego innych ludów.

Oto dlaczego apelujemy do tych wszystkich, którzy chcą dla ludzkości zgody i zjednoczenia. Te dusze szlachetne, przy Bożej pomocy, stają się z każdym dniem coraz liczniejsze i zwycięsko przeciwstawiają swój ideał światła i miłości błędowi i złu. Przekonane, że niczego trwałego nie buduje się na piasku, opierają się na prawdach wiecznych, których nie potrafią zachwiać najbardziej kategoryczne negacje. A to dlatego że, czego rozum ludzki od dawna poszukiwał po omacku, to Wszechmocny w swojej dobroci okazał ludziom w osobie swego umiłowanego Syna: „On jest pokojem naszym“ (Ef. 2, 14).

W Jego imieniu i dla dobra pokoju całej ludzkości jeszcze raz dziękujemy wam, panowie, za hołd, który przyszliście Nam złożyć, i błagamy o najobfitsze łaski Boże dla was samych i każdego kraju, który reprezentujecie. Jako zadatek tego udzielamy wam z całego serca Naszego najserdeczniejszego Błogosławieństwa Apostolskiego.

U STÓP „PŁACZĄCEJ PANI“

Z Grenoble stromą serpentyną wspina się powoli nasz autobus na górę w kierunku Corps. Po drodze mijamy różnych turystów, przeważnie składających się z inteligencji francuskiej. Na chwilę zatrzymujemy się, żeby zabrać ze sobą jakąś panią, upadającą ze znużenia. Okazuje się, że to pątniczka, która zrobiła ślub, że szlakiem pielgrzymów pójdzie pokłonić się „Płaczącej Pani“. Dowiadujemy się, że widziani przez nas turyści — to także pątnicy, którzy co roku idą pieszo do La Salette, żeby zaczerpnąć nowych sił duchowych do dalszej pracy.

Tuż przed samym Corps zatrzymuje się nasz autobus. U podnóża niebotycznych gór mieści się kolebka Zgromadzenia Księży Misjonarzy Saletynów. Jesteśmy u celu naszej podróży. Czcigodny Ksiądz Rektor przyjmuje serdecznie naszą pielgrzymkę i zaprasza nas mile do gmachu nowicjatu. Udajemy się do kaplicy na majowe nabożeństwo. Skromne freski na ścianach wtajemniczają nas w atmosferę objawienia się Najświętszej Maryi Panny. Przy blasku świec jeszcze bardziej przejmujące wrażenie sprawia „Płacząca Pani“. W uszach naszych zdają się dźwięczeć Jej pełne smutku słowa, wypowiedziane do ubogich pastuszków Melanii i Maximina dnia 19 września 1846 roku: „A teraz, dzieci Moje, przekażcie to wszystkiemu Memu ludowi.“ Przecież tu chodzi o to samo orędzie Matki Bożej, wypowiedziane później do biednych portugalskich pastuszków w Fatimie, o to samo wezwanie do pokuty i modlitwy za grzeszników. Nic się od tego czasu nie zmieniło, czego dowodem są okrucieństwa drugiej wojny światowej. W żarliwej modlitwie prosimy Najświętszą Panienkę o szczególniejsze wstawiennictwo i opiekę nad naszą udręczoną i umęczoną Ojczyzną. Jej pieczy powierzamy nasz czcigodny Episkopat, naszych drogich księży i wiernych, którzy już tyle czasu zmagają się w śmiertelnych zapasach z nawałą bezbożnictwa.

Po majowym nabożeństwie schodzimy do refektarza na skromną kolację, podczas której wpada jak bomba nasz słynny malarz — pan Gąsiorowski. Zaraz oddaje się do naszej dyspozycji i proponuje wypad w góry już o brzasku dnia. Zauważywszy nasze „juczne“ plecaki i tornistry, radzi odnieść je do Corps, zapewniając, że przed przybyciem do La Salette zastaniemy je na miejscu. Natychmiast wyruszamy z nim do pobliskiego miasteczka, gdzie przyszedł na świat i mieszkał Maximin, syn kołodzieja Giraud, wybraniec i herold „Płaczącej Pani“. Tuż obok parafialnego kościoła widzimy ubożuchny domek, który przy świetle naszych kieszonkowych latarek zdawał się być podobny w swoim ubóstwie do betlejemskiej stajenki. Tu urodził się Maximin i tu spędził też swoje dzieciństwo. Z nowym przeżyciem i wrażeniem wracamy na naszą kwaterę.

O świcie wspinamy się stromą ścieżką — tak zwanym szlakiem pielgrzymów, w kierunku La Salette. Na łagodniejszych zboczach śpiewamy godzinki ku czci Najświętszej Panienki. Na horyzoncie, zza kłębiastych chmur wyłania się potężny masyw Obiou. Przewodnik opowiada nam o rozbiciu się pasażerskiego samolotu tuż pod samym szczytem tej niebotycznej góry. Lecieli nim kanadyjscy pątnicy, wracając z Roku Świętego do swojej ojczyzny. Na chwilę przerywamy nasze Godzinki, aby się pomodlić za spokój ich dusz. Po drodze wstępujemy do przydrożnej kapliczki, do której często zaglądali Melania i Maximin.

Dochodzimy do Drogi Krzyżowej, która ciągnie się na przestrzeni trzech kilometrów aż do samego sanktuarium. Na dole w głębokiej kotlinie ubożuchna górska wioska La Salette. Sympatyczny przewodnik w sposób porywający opowiada nam o objawieniu się „Płaczącej Pani“. W międzyczasie patrzymy z góry na skromny, wiejski kościółek, z którego ambony na całą Francję i cały świat rozeszła się wieść o ukazaniu się Matki Bożej. Zaraz potem rozpoczynamy naszą Drogę Krzyżową w intencji Polski. Wstępną modlitwę odczytuje ks. dr kanonik Ignacy Walczewski, kierownik i organizator pielgrzymki. W gorącej modlitwie łączymy się duchowo z rodakami w Ojczyźnie. Płyną żarliwe modlitwy do „Płaczącej Pani“. Błagamy Ją serdecznie o to, żeby Swoim możnym wstawiennictwem wyjednywała stale u Swego Syna łaskę męstwa i wytrwania w wierze ojców dla naszych prześladowanych braci i sióstr w Kraju.

W tym nastroju modlitewnym zbliżamy się powoli do świętej kotliny, gdzie mali wybrańcy Matki Bożej, bawiąc się, budowali swój dom z kamieni, nazwany przez nich „rajem“. Właśnie nad tym ich „rajem“ ukazała się im „Płacząca Pani“. Mijamy przepiękne rzeźby w brązie, przedstawiające przebieg objawienia i kierujemy się do bazyliki. U stóp Królowej śpiewamy „Bogarodzica“, staropolską pieśń rycerzy spod Grunwaldu.

Następnie bierzemy udział w procesji, posuwającej się drogą na kształt litery „S“, którą oddalała się „Płacząca Pani“ po oznajmieniu Swego orędzia pastuszkom. Droga ta swoim kształtem ma przypominać Drogę Krzyżową odbytą przez Pana Jezusa od pałacu Piłata aż na samą Golgotę. Zaraz po procesji uczestniczymy w uroczystej Mszy św., podczas której przystępujemy gremialnie do Komunii św.

Po obiedzie wspinamy się na pobliskie wzgórze Planeau, gdzie Melania i Maximin paśli krowy. Na szczycie u stóp krzyża, który panuje nad wioską La Salette i całą okolicą, śpiewamy pieśni maryjne. Dokoła nas roztacza się przecudny widok. W dali na horyzoncie bielą się śniegiem pokryte Alpy. Pogoda bajeczna, jakby wymarzona Pragniemy nacieszyć się urokiem gór, które „Płacząca Pani“ wybrała sobie za miejsce objawienia. Wtem dzwony sanktuarium wzywają na nieszpory i różaniec. Szybko schodzimy do bazyliki, gdzie tłumy pątników trwają w modlitwie aż do zmroku.

Z zapadnięciem nocy z bazyliki wyrusza uroczyście procesja szlakiem „Płaczącej Pani“. Na zboczu góry Gargasu (2200 m) dokoła migocą płomyczki w kształcie litery „S“. To światełka palących się świec i świeczek. Wygląda to jakby mrowie świętojańskich robaczków. Wśród nocnej ciszy brzmią przejmująco — odbijając się o niebotyczne góry — pieśni ku czci Najśw. Maryi Panny. Pątnicy otaczają kołem „Płaczącą Panią“, która zdaje się spoglądać serdecznie na nich jak Matka na garnące się do Niej dzieci. Echo zanosi daleko ostatnie słowa modlitwy i powoli wszyscy podniesieni na duchu udają się na spoczynek.

Nazajutrz, na miejscu objawienia się Najświętszej Maryi Panny słuchamy z zapartym oddechem tak zwanego „récit“ (opowiadania) o cudownym ukazaniu się „Płaczącej Pani“. Ojciec misjonarz bardzo żywo i interesująco przedstawia pątnikom przebieg cudownego zjawienia się Matki Bożej nad „rajem“. W trakcie opowiadania postać „Płaczącej Pani“ — jakby zakuta w brązie — zdaje się ożywiać. Narrator — sam przejęty do głębi swoim opowiadaniem — zaczyna działać na naszą wyobraźnię. Postacie ubogich pastuszków Melanii i Maximina stają się dla nas bliskie i drogie. W przerwach słyszymy wyraźnie plusk cudownego źródła, które bije bez przerwy u stóp „Pięknej Pani“. Ojciec misjonarz kieruje naszą uwagę na rzeźbę w brązie, przedstawiającą Najśw. Panienkę w chwili Jej odejścia. Przeżywamy chwilę zbliżoną do tej, którą przeszło sto lat temu przeżyli Melania i Maximin. „Piękna Pani“, jak Ją nazywają dzieci, patrzy na śnieżnobiałe Alpy w stronę Rzymu, jakby chciała przekazać Swoje orędzie Ojcu św., następcy św. Piotra. I przekazała je w postaci zapieczętowanych kopert, zawierających i kryjących w sobie sekrety powierzone Melanii i Maximinowi.

Pokrzepieni i podniesieni na duchu z żalem opuszczamy La Salette. Jeszcze raz ze szczytu góry Gargasu obejmujemy wzrokiem całe sanktuarium, które tonie w blaskach promieni słonecznych. Serdecznie żegnamy naszą „Płaczącą Panią“ i przyrzekamy Jej, że Jej orędzie, wzywające do pokuty i modlitwy, zaniesiemy do wszystkich naszych rodaków rozproszonych po całej kuli ziemskiej.

Władysław Wolko

(1) Wspomnienia z pielgrzymki alumnów Polskiego Seminarium Duchownego w Paryżu.

Maria Winowska: „Kto mi łzy powróci?“, nakład Księży Misjonarzy, Rzym, 1952, str. 200.

CHRISTOPHER DAWSON

PRZYSZŁOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKIEJ KULTURY

NAWRÓCENIE OBOJĘTNYCH

Katastrofalna sytuacja, w jakiej się świat dziś znalazł, jest wynikiem dwóch czynników: pierwszy z nich, to kompletna laicyzacja kultury zachodniej; drugi, to bunt reszty świata przeciwko niej. W ciągu ostatnich dwóch wieków cywilizacja zachodnia rozluźniła więź z tradycjami religijnymi, w oparciu o które powstała, a całą swoją energię skierowała na podbój i organizowanie świata za pomocą ekonomicznych i naukowych środków. W ostatnim półwieczu pojawił się w świecie rosnący opór przeciwko tej eksploatacji, który za naszych czasów doprowadził do rewolucji zagrażającej samemu istnieniu zachodniej społeczności.

Rewolucja ta nie jest jednak skierowana przeciwko samemu procesowi laicyzacji. Problem nie sprowadza się do konfliktu między „zachodnim materializmem", a „wschodnim spirytualizmem". Przeciwnie, Wschód postępuje śladami Zachodu w jego buncie przeciwko tradycji religijnej i idzie nawet dalej w stronę zupełnej sekularyzacji kultury. Wschód może atakować Zachód jako wcielenie ekonomicznego wyzysku, ale nie może się sprzeciwiać jego materializmowi, skoro istota jego protestu opiera się na doktrynie ekonomicznego materializmu zapożyczonej z Zachodu.

Jakaż winna więc być postawa katolicyzmu w tej sytuacji? Ponieważ obydwie strony reprezentują rywalizujące ze sobą formy sekularyzacji, mogłoby się zdawać, że katolicyzm nie powinien zajmować się żadną z nich i obserwować jedynie toczący się konflikt, podobnie jak prorocy żydowscy patrzyli na wzajemne unicestwianie się wielkich imperiów za czasów Nabuchodonozora.

Jednakże taka ocena sytuacji byłaby zbyt uproszczona. Katolicyzm był tak wrośnięty w historię cywilizacji zachodniej przez ostatnie tysiąc pięćset lat, że stosunek katolików do Europy nie może być taki sam, jakim był niegdyś stosunek Żydów do świata nieżydowskiego. Nawet dzisiaj, po reformacji, rewolucji i całkowitej laicyzacji państwa nowoczesnego i nowoczesnej kultury — społeczeństwo nasze pozostaje jednak w pewnym sensie chrześcijańskie.

Nie pozwalajmy sobie jednak na optymizm. W ostatnim pięćdziesięcioleciu doszły na świecie do głosu nowe siły jawnie anty-chrześcijańskie: państwa totalitarne Niemiec hitlerowskich i Rosji sowieckiej stworzyły nowy typ prześladowania religijnego, znacznie bardziej wyrafinowanego i głębiej sięgającego niż cokolwiek, co spotkało Kościół w przeszłości. Prawda, że groźba komunizmu skierowana jest tak przeciw kulturze zachodniej jako całości, jak i przeciwko chrześcijaństwu. Ale nie znaczy to, że kultura zachodnia stała się świadomym obrońcą wiary i chrześcijańskich wartości moralnych. Przeciwnie, w ostatnich latach pięćdziesięciu zarysował się w Anglii, a może i w całej zachodniej Europie, poważny upadek religijny. Aby zrozumieć pozycję, jaką zajmuje religia w świecie nowoczesnym, musimy uznawać istnienie dwóch wprost przeciwnych tendencji. Z jednej strony poziom moralny tej mniejszości, która jest religijna — stale się podnosił; a z drugiej strony ogólny poziom religijny ludzi, którzy są chrześcijanami tylko z imienia lub na wpół chrześcijanami — gwałtownie się obniżał. A więc ogólna tendencja w nowoczesnym zachodnim społeczeństwie idzie raczej w kierunku coraz bardziej pogańskim, podczas gdy mniejszość religijna utrzymuje, a może nawet powiększa swą żywotność i siłę wewnętrzną.

OBOJĘTNOŚĆ RELIGIJNA

Istotę tych przemian ukazuje bardzo wyraźnie przegląd pt. „English Life and Leisure", wydany w Anglii w roku 1955 przez B. S. Rowntree i G. R. Lavers. Poświęca on wiele uwagi zagadnieniu religii i jest bodaj pierwszą poważną próbą ustalenia przy pomocy sądowania opinii, jaki wpływ ma chrześcijaństwo na życie dzisiejszych ludzi.

Poszczególne wypadki opisane w tym przeglądzie wywołują wrażenie, że przyczyna obecnego bezbożnictwa nie na podstaw intelektualnych, że nie jest ono powodowane wpływem ani komunizmu ani dogmatycznego anty-chrześcijaństwa. Jest to raczej zwykła obojętność — po prostu „pogaństwo" ludzi, którzy się nad tym problemem — ani prawdopodobnie nad żadnym innym — nigdy głębiej nie zastanawiali i którzy nie widzą żadnego związku między chrześcijaństwem a swym codziennym życiem.

Oto kilka typowych wyjątków. Spośród dwustu wypadków. Numer 3 „nie chodzi do kościoła, chociaż nie ma przeciw temu żadnych zasadniczych zastrzeżeń". Mówi tylko — „to dobre dla dzieci, ale jeżeli dorośli ludzie są tak naiwni, że dają się nabierać, to mnie to nic nie obchodzi". Numer 24 nie interesuje się religią. Powiada, że gdyby modlitwa mogła zapewnić kupno domu, to modliłby się, ale każdy wie, iż to niemożliwe. Numer 26 także nie interesuje się religią i jedyne co pamięta z doktryny chrześcijańskiej jest to, że „w szkole czytaliśmy głośno biblię — po jednym wierszu — każde z nas. Raz poszłam do kościoła z przyjaciółką, ale tam był rozgardiasz, że się zupełnie zagubiłam w mej książce".

Numer 34 jest całkowicie w stosunku do religii obojętny i twierdzi: „Podróżowałem tak wiele i widziałem tyle przeróżnych religii, iż nie mogę uwierzyć, by istniała jakaś prawdziwa religia. Religia to po prostu zwyczaj."

Numer 49 ma głęboką pogardę dla religii. „Cóż ci głupi księża wiedzą? Czy można zapłacić podatek modlitwą? Nie mam czasu na takie gadania. Chętnie bym ich zapędził do pracy w kopalniach."

Numer 72 nigdy nie chodzi do kościoła, bo „przejadł się" religią, gdy był w wojsku. Ale mówi — „religia w miarę jest rzeczą całkiem dobrą". Posyła swoje dzieci na naukę religii w niedzielę, aby się ich pozbyć z domu.

Numer 97 nie ma absolutnie żadnych przekonań religijnych i uważa, że pójść do kościoła czy nie pójść, to zupełnie to samo, co pójść do kina. „To tylko kwestia, czy masz ochotę." Numer 111 w nic nie wierzy — „nie jestem ateistą, ale to mnie nic nie obchodzi. Lubię jednak jak chłopcy chodzą do kościoła, ponieważ powinni umieć zachować się w czasie nabożeństwa. Jeśli tego nie robią, to później w życiu wyglądają na ostatnich durniów, gdy znajdą się w kościele".

ZAGROŻENIE CHRZEŚCIJAŃSTWA

Wydaje się, że obecnie ta postawa pogardliwej obojętności charakteryzuje większość spośród badanych dwustu wypadków. Istnieje naturalnie także poważna mniejszość, której poglądy są diametralnie różne i dla której chrześcijaństwo jest wciąż jeszcze czymś żywym. Istnieje też bardzo mała grupa niedowiarków, wyraźnie wrogich w stosunku do chrześcijaństwa, w której znajduje się kilku komunistów i paru o poglądach do komunizmu zbliżonych. Obydwa rodzaje mniejszości to raczej wyjątki. Prawdziwą groźbę dla chrześcijaństwa i przyszłości zachodniej kultury stanowi — jak wykazano w wymienionym przeglądzie — nie ta zdecydowana mniejszość, której wrogość oparta jest na intelektualnych przesłankach, ale ta wielka masa ludzka nie nastawiona anty-religijnie, a tylko obojętnie, a tym samym nie odczuwająca żadnej duchowej potrzeby religii.

Jest to rzecz zupełnie nowa.

W przeszłości niski poziom kultury nie pociągał koniecznie za sobą braku wierzeń religijnych. Na początku swego istnienia chrześcijaństwo największy odzew zyskiwało wśród biedaków, niewykształconych i społecznie wydziedziczonych. Nawet najbardziej prymitywne ludy — jeśli chodzi o ich dorobek materialny i kulturalny — nigdy nie były zupełnie pozbawione poczucia religijnego.

Gdzie leży wytłumaczenie tej zmiany? Uważam, że przyczyną tego jest sztuczny charakter nowoczesnej kultury, tak różny od czegokolwiek, co znały wieki poprzednie. Nasza nowoczesna kultura zachodnia jest czymś w rodzaju cieplarnianej rośliny. Z jednej strony człowiek chroniony jest od bezpośredniego zetknięcia się z rzeczywistością, z drugiej zaś poddawany jest coraz bardziej wzrastającemu ciśnieniu, mającemu na celu społeczne upodobnienie go do innych. Rzadko musi sam coś przemyśleć, czy też podjąć jakąś ważną decyzję. Całe życie pędzi w ramach dobrze zorganizowanych, ale sztucznych zgrupowań ludzkich, jak fabryka, związek zawodowy, biuro, partia polityczna. Sukces lub niepowodzenie takiego człowieka zależy od tego, jak układają mu się stosunki w tym organizacjach. Gdyby Kościół był jedną z takich przymusowych organizacyj, człowiek nowoczesny byłby religijny, ale ponieważ przynależność do Kościoła jest dobrowolna i wymaga poświęcenia wolnego czasu, uważa się to za zbyteczne i niepotrzebne.

PRÓŻNIA DUCHOWA

Jak chrześcijanie mogą tę trudność pokonać? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa, gdyż problem nawracania obojętnych religijnie przypomina uczenie niedorozwiniętych. Jedynym właściwym rozwiązaniem byłaby zmiana warunków kulturalnych, które sprawiły, że ten nienaturalny stan rzeczy zaistniał. Człowiek obojętny religijnie jest w pewnym sensie człowiekiem prymitywnym, a fakt, że zdrowe i normalne jednostki mogą zostać w ten sposób „odczłowieczone" wskazuje, iż musi być coś naprawdę nienormalnego w społeczeństwie i kulturze, które z tych jednostek zrobiły to, czym się stały.

Jest to po prostu łagodniejsza forma tej samej choroby, która dała tak straszliwe rezultaty w państwach totalitarnych. W ostatnich latach często zmuszeni byliśmy zadawać sobie pytanie, jak to się stało, że przeciętnie porządny i dobrze wychowany Niemiec lub Rosjanin przyjmował istnienie obozów koncentracyjnych oraz masowych czystek, które dotykały do żywego nasze humanitarne instynkty. Odpowiedzieć na to można, że trzodowy instynkt społeczny silniejszy jest od humanitarnego. Jeżeli państwo zadecyduje, że zastosowanie środków niehumanitarnych potrzebne jest dla dobra partii — wtedy jednostka przyjmuje decyzję państwa bezkrytycznie i właściwie bez rozpoznania tego, co państwo robi.

W społeczeństwie zachodnim taki stan rzeczy, na szczęście, wciąż jeszcze jest niemożliwy. Państwo i społeczeństwo, a także jednostki wciąż jeszcze przyjmują zasady humanitarne jako coś bezspornego. Ale w wypadkach, gdy zasady te nie wchodzą w grę, pojawia się ta sama tendencja gotowości podporządkowania prawa moralnego — a tym bardziej wyższych prawd wiary — społecznej wygodzie. Niemniej jednak nie przypuszczam, by nawet laicki humanista mógł uważać ten stan rzeczy jako zadowalający. Albowiem współczesna obojętność religijna łączy się z obojętnością w wielu innych sprawach, które są ważne dla dobra społeczeństwa. Postawa ta — w istocie swej negatywna — powoduje brak jakichkolwiek głębokich przekonań moralnych i jakiegokolwiek skutecznego dynamizmu społecznego, poza pogonią za własnym interesem. Wytwarza się rodzaj próżni duchowej, niezdolnej do produkowania żadnych kulturalnych owoców. W tym sensie jest to gorsze od komunizmu, który ma jednak charakter dynamiczny, nawet jeżeli w gruncie rzeczy ten dynamizm jest tylko żądzą ucieleśnioną w dyktaturze partii i państwa policyjnego. I to właśnie jest jednym z największych niebezpieczeństw, jakie zagrażają kulturze zachodniej, kiedy ta ostatnia jest identyfikowana z tym co nazywamy „demokratycznym sposobem życia". Daje to w wyniku społeczeństwo neutralne duchowo i pasywne, które łatwo staje się łupem jakiejkolwiek potężnej, agresywnej, rewolucyjnej siły w rodzaju komunizmu.

Chrześcijaństwo nie ma obowiązku bronienia naszej zlaicyzowanej kultury zachodniej przed zagrożeniem rewolucją społeczną i polityczną. Z punktu widzenia chrześcijan nie ma wielkiej różnicy między pasywnym gnostycyzmem i obojętnością a aktywnym materializmem. W gruncie rzeczy oba te kierunki mogą być różnymi symptomami czy fazami tej samej choroby duchowej. Sprawą pierwszorzędnej wagi jest odzyskanie moralnych i duchowych podstaw, na których opiera się życie jednostki i kultura, a więc przekonanie przeciętnego człowieka, że religia to nie pobożna fikcja, nie mająca nic wspólnego z realnym życiem, ale sprawa najściślej związana z realiami dnia, a w gruncie rzeczy jedyna droga do realizmu i właściwego sposobu życia. Jest to zadanie niełatwe odkąd zupełnie zlaicyzowana kultura stworzyła jakiś pozorny świat, w którym postacie kinowe i z seryjnych odcinków ilustracji w prasie wydają się żywsze niż postacie Ewangelii; gdzie sztuczny cykl zarabiania i wydawania pieniędzy odcina ludzi od bezpośredniego zetknięcia się z ziemią i od naturalnego cyklu uprawy i zbiorów; gdzie nawet narodziny i śmierć, choroba i bieda nie stawiają już człowieka twarzą w twarz ze sprawami ostatecznymi, a tylko wydają go jeszcze bardziej w ścisłą zależność od państwa i jego biurokracji, tak, iż każda potrzeba ludzka może być zaspokojona przez wypełnienie odpowiedniego formularza.

PRZERZUCANIE MOSTU NAD PRZEPAŚCIĄ

W tym świecie pozostaje jeszcze tylko jedna wielka instytucja społeczna i duchowa, która jest widomym wcieleniem prawdy nadprzyrodzonej i Bożego autorytetu. Tak długo dopóki Kościół katolicki może prowadzić swoje własne życie i ukazywać w swoim postępowaniu i nauce prawdę jaką reprezentuje — tak długo będzie wywierać swój wpływ na społeczeństwo, chociażby kultura tego społeczeństwa była już najbardziej zlaicyzowana. Ale, jeżeli przepaść między Kościołem a kulturą świecką stanie się tak wielka, że nie będzie żadnych sposobów wymiany poglądów czy możliwości wzajemnego porozumienia, wtedy łatwo się może zdarzyć, że Kościół zamiast przyciągać zacznie odpychać ludzi od siebie. Dlatego nie wystarczy, aby katolicy utrzymywali wysoki poziom praktyk religijnych wewnątrz swej katolickiej społeczności — potrzeba także, aby władni byli wybudować most porozumienia w głąb terytorium świeckiej kultury, aby mogli działać jako apostołowie wiary chrześcijańskiej w świecie poza zasięgiem Kościoła. Taka akcja nie ogranicza się do bezpośredniej pracy misyjnej i propagandy religijnej w sensie formalnym. Jest ona obowiązkiem każdego katolika, a przede wszystkim każdego katolika wykształconego.

Widzieliśmy w przeszłości, a specjalnie na kontynencie w wieku dziewiętnastym, że laicyzacja zachodniej kultury nie nastąpiła z winy kleru lub zakonów, dobrze spełniających swe zadanie, ale na skutek niedołęstwa i pasywności katolików świeckich, którzy zaniedbali sprawy chrześcijaństwa i pozostawili dziedzinę wyższego wykształcenia zwolennikom bezreligijnego nauczania. W naszym pokoleniu sytuacja ta zmieniła się na skutek rozwoju Akcji Katolickiej. Ale nie o tym teraz chcę mówić. Akcja Katolicka — tak jak ją rozumiem — dąży do zjednoczenia we wspólnym wysiłku katolików świeckich z duchowieństwem do działalności misyjnej Kościoła. W tej chwili myślę jednak, że istnieje potrzeba aby wykształceni katolicy wpływali na współczesną kulturę przez poszerzenie i pogłębienie ich własnego zrozumienia katolicyzmu i katolickiej kultury.

RELIGIA OBRACA SIĘ W SFERZE REALNOŚCI

Faktem jest, że nowoczesne społeczeństwo — jakby nie było, prymitywne religijnie i pozbawione kultury duchowej — posiada jednak prawdziwy, chociaż raczej mglisty szacunek dla wykształcenia i jego zasadniczym argumentem krytycyzmu ortodoksyjnie pojętej religii jest, że chrześcijaństwo jest przestarzałe, że Kościół ma postawę reakcyjną i obskurancką w stosunku do nowoczesnej nauki i socjologii oraz że chrześcijanie nie mają nic wspólnego z myślą nowoczesną. W konsekwencji każdy katolik, który posiada pewną intelektualną żywotność, a równocześnie jest święcie przekonany o prawdziwości swojej religii powoduje wstrząs w sferze utartych przekonań grona członków takiego społeczeństwa. Taki katolik prawdopodobnie nikogo nie nawróci, ale poderwie w tym gronie zaufanie do bezapelacyjności poglądów laickich i do tej marki głupoty przyczepionej tym, którzy mają religijny pogląd na życie.

To jest pierwszy krok, i chociaż mały, ma on zasadnicze znaczenie. Następny krok — to gdy ludzie zaczynają rozumieć obiektywną wartość i znaczenie wiedzy religijnej, kiedy zaczynają widzieć, że ta wiedza jest nie mniej ważna dla ludzkiego szczęścia i dla zrozumienia rzeczywistości jak ekonomia i nauki ścisłe. Ta faza jest wciąż jeszcze poza progiem chrześcijaństwa, prowadzi tylko do punktu wspólnego wszystkim religiom i wielu filozofom, którzy sami nie mieli wiary jak Matthew Arnold w wieku dziewiętnastym, a George Santayana w naszych czasach. Niemniej jednak, gdy ten moment nadszedł, to można uważać, że jest punktem zwrotnym.

Istnienie kultury całkowicie zlaicyzowanej i typu ludzi prymitywnych religijnie opiera się na założeniu, że wiedza religijna nie jest właściwie wiedzą i że prawdziwa wiedza zajmuje się jednak sprawami materialnymi i ekonomicznymi potrzebami człowieka. W momencie, gdy człowiek zaczyna pojmować, że stoi na progu świata duchowego, który jest równie realny jak świat materialny i w pewnym sensie poznawalny przez umysł — wtedy kroczy już po drodze prowadzącej do przyjęcia przez niego wiary chrześcijańskiej i stania się członkiem Kościoła katolickiego. Ale nie będzie on mógł znaleźć się na tej ścieżce, jeżeli katolicy nie odegrają swej roli apostołów.

ZADANIA KATOLIKÓW ŚWIECKICH

W jaki sposób można to osiągnąć? W tej chwili sytuacja jest taka, że nowoczesna kultura laicka stała się zamknięta w sobie i straciła jakikolwiek kontakt z wyższym światem duchowym. W przeszłości ten wyższy świat był widzialny i zrozumiały dla człowieka Zachodu za pośrednictwem kultury chrześcijańskiej, która dostarczała wielu sposobów zbliżenia przystosowanych do różnorakich typów umysłowości i różnych form intelektualnej działalności. Dzisiaj wszystkie te ścieżki zostały zamknięte przez ignorancję, uprzedzenie i zaniedbanie i trzeba je otworzyć powtórnie przy pomocy akcji duchowej i intelektualnej katolików, pracujących każdy na swoim własnym odcinku dla wspólnego celu. Na tym polu właśnie praca wykształconego katolika jest tak ważna. Istnieje apostolstwo intelektualne tak samo jak apostolstwo czynu i modlitwy.

Kultura chrześcijańska nie jest tym samym co wiara chrześcijańska. Ale tylko poprzez kulturę wiara może przeniknąć do cywilizacji i przekształcać myśli i ideologie nowoczesnego społeczeństwa. Kultura chrześcijańska jest typem kultury, która zwraca się ku celom nadprzyrodzonym i duchowej rzeczywistości, kultura zaś świecka kieruje się ku rzeczywistości materialnej i zaspakajaniu materialnych potrzeb człowieka. Na tym polega zasadniczy konflikt, na którym św. Augustyn oparł swą filozofię historii. W jego pojęciu motorem społeczności jest jej wspólne dążenie lub energia psychiczna. W takim razie w społeczeństwie bezbożnym i egoistycznym jedynym motorem postępowania jest dążenie do samozadowolenia — cupiditas — obojętnie, czy przejawia się ono w rywalizujących ze sobą impulsach egoistycznego posiadania, względnie walki klas, czy też w żądzy władzy u państw i narodów.

Tej tendencji człowieka do stwarzania świata zamkniętego w egoizmie, który ostatecznie skazany jest na zagładę przez swoje własne niszczycielskie instynkty — przeciwstawia się Boska działalność odrodzenia duchowego, mającego swe centrum w fakcie Wcielenia a swą orbitę w wierze chrześcijańskiej. Razem z chrześcijaństwem wchodzi nowa dynamiczna zasada w życie ludzkości i reorganizuje je wokół nowego ośrodka duchowego i ustawia twarzą ku celom nadprzyrodzonym. Ta nowa zasada ma swoje zastosowanie tak w życiu społeczeństwa jak i jednostki. Została ona wcielona w życie zorganizowanej społeczności, którą jest Kościół katolicki i rozszerza swój wpływ na każdy odcinek życia ludzkiego i na każdą formę społecznej działalności. Poszczególne elementy społeczności ludzkiej — rodzina, powiązania gospodarcze, samorząd i państwo — pozostają te same, ale w zależności od tego jak głęboko wchodzą pod wpływy wyższego porządku duchowego, zwracają się ku nowym celom.

Tym sposobem wkład chrześcijaństwa do kultury nie jest tylko dodatkiem nowego elementu religijnego. Jest to raczej proces nowotworzenia, przekształcający zupełnie charakter organizmu społecznego. Rozbija on zamknięty, egoistyczny świat kultury świeckiej i daje społeczności ludzkiej nowy cel duchowy, wykraczający poza sprzeczne interesy jednostki, klasy i rasy. W ten sposób chrześcijaństwo dostarcza psychologicznych motywów do stworzenia prawdziwie powszechnej kultury, z której żadna rasa i klasa społeczna nie jest wyłączona.

Bez wątpienia na pierwszy rzut oka chrześcijańskie rozwiązanie problemów wydaje się niedoskonałe w porównaniu z ideologiami świeckimi i utopiami, ofiarowującymi człowiekowi wszystko od razu pod warunkiem, że podda się ich kontroli całkowicie. W rzeczy samej jednak, ideologie te wzmagają jedynie podziały społeczne i konflikty w świecie nowoczesnym i zamiast stwarzać raj wtrącają ludzkość coraz to głębiej w niewolnictwo i wojnę.

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI

Chrześcijaństwo natomiast nie daje cudownego lekarstwa na skomplikowane schorzenia nowoczesnego świata. Operuje ono kategoriami wiecznymi i może sobie pozwolić na nieliczenie się z czasem. Ale dlatego właśnie kultura chrześcijańska jest potencjalnie o wiele bardziej rozległa i uniwersalna niż świecka. Przyjmuje ona za swój środek Boga a nie człowieka i dlatego zmienia cały sposób życia ludzkiego, ustawiając je w nowej perspektywie.

Filozofia i nauki ścisłe, historia i literatura — wszystko to nabiera nowego charakteru i zostaje pogłębione i poszerzone, gdy się patrzy na to z tej perspektywy. Dlatego właśnie kultura chrześcijańska widziała w teologii królową wszystkich nauk. Rozszerzenie zakresu nauk przez wzrost wiedzy przynosi też nowe możliwości do poszerzenia zasięgu chrześcijańskiej kultury. Każdy postęp tego rodzaju, choćby najmniejszy, czyni wiarę bardziej dostępną i bardziej zrozumiałą dla nowoczesnego świata. Być może nie będzie nam dane budowanie katedr, jak robili to katolicy żyjący w wieku trzynastym, albo pisanie eposów, jak czynił to Dante, ale jednak każdy z nas może uświadamiać ludzi co do istnienia prawd religijnych i doniosłości myśli katolickiej, a w ten sposób wpuścić trochę światła do ciemnego świata zlaicyzowanej kultury.

tłum. A. Poleska

KOŚCIÓŁ I CYWILIZACJE

Tematem obrad ostatniego Tygodnia Intelektualistów Katolickich francuskich („Semaine des Intellectuels Catholiques"), który obradował w Paryżu, były stosunki między Kościołem a formami cywilizacyjnymi; temat ten uznano za szczególnie aktualny, ba, za problem centralny życia chrześcijańskiego naszych czasów. W jaki sposób problem ten został ujęty, świadczą zagadnienia, wyznaczone na poszczególne dni tygodnia; brzmią one następująco:

1) Prawdy i kwestie wątpliwe cywilizacji chrześcijańskiej;

2) Kościół nie jest klerykalny;

3) Kościół rozumie komunizm i odrzuca go;

4) Kościół nie przestaje „iść między barbarzyńców";

5) Kościół mówi wszystkimi językami ludzkości;

6) Kościół nie obawia się cywilizacji technicznej;

7) Kościół wierzy w przyszłość świata.

Każdemu z tych zagadnień poświęcono kilka referatów. Ze sformułowań już widać jest wyraźnie, że chodziło tu o spojrzenie w przyszłość. Chodziło o podkreślenie — jak wynika z punktu pierwszego — że nie należy przypisywać dotychczasowej cywilizacji chrześcijańskiej charakteru absolutnego i traktować jej, w jej dotychczasowej postaci, jako cywilizacji jedynie możliwej. W temacie drugim wystąpiono przeciw rozpowszechnionemu przesądowi, że Kościół tam, gdzie tylko może, miesza się w rzeczy tego świata (np. właśnie cywilizacje), które w rzeczywistości mają swe własne prawa bytu i rozwoju. Dalsze zagadnienia dotyczyły stosunku Kościoła do występujących w naszej epoce nowych form cywilizacyjnych. Stosunek ten jest zdecydowanie negatywny wobec komunizmu. Wobec „barbarzyńców", pod którym to mianem rozumie się masy proletariackie, z ich kulturą, stojące poza obrębem Kościoła, z drugiej zaś strony cywilizacje innych ras i narodów oraz ludów jeszcze niedorozwiniętych — stosunek Kościoła jest wyraźny i dano mu mocny wyraz w referatach.

Najjaśniej rzecz rozwinął w swym referacie biskup Angers, ks. Chappoulie; podkreślił on, że droga Kościoła biegnie na innej płaszczyźnie niż droga cywilizacyj z ich wartościami i prawami; droga jest drogą zmierzającą do zbawienia wszystkich ludzi i wszystkich narodów. Gdy mowa jest o tym, że Kościół „nie przestaje iść między barbarzyńców", to nie oznacza to wcale jakiegoś „zwrotu na lewo" ani zwycięstwa „rewolucyjnego profetyzmu" nad klasami konserwatywnymi; przeciwnie jest to cicha, codzienna, stale trwająca praca Kościoła, która czasami wywołuje wśród części wiernych zrozumiałe obawy i troski. Nie są one niczym nowym. Podobne obawy o przyszłość Kościoła panowały w Kościele gallo-rzymskim w V wieku naszej ery, kiedy biskup Reims, ochrzciwszy Klodwika, przyjął do Kościoła barbarzyńskich Germanów; pytano się wówczas z bojaźnią: co się teraz stanie z Kościołem? Podobnie dzisiaj papieże i biskupi głoszą konieczność przyjęcia do Kościoła mas robotniczych — nieznośnym bowiem zarzutem pod adresem Kościoła jest fakt, że ogromna ilość ludzi (oczywiście mówcy mieli na myśli przede wszystkim Francję dzisiejszą) żyje poza jego obrębem, i co więcej, ludzi obdarzonych siłą młodości, entuzjazmem i szlachetnymi uczuciami. To samo dotyczy narodów Azji i Afryki, uwalniających się dzisiaj spod panowania Zachodu; Kościół winien im wykazać, że posłanie Ewangelii nie związane jest z żadną formą cywilizacyjną i że formy te nie należą do istoty Kościoła. Kościół w pełni zdaje sobie sprawę z trudnego zadania utrzymania tej samej nauki i dyscypliny wśród ludzi tylu ras i cywilizacji.

Wielkie wrażenie zrobiło wystąpienie chińskiego oratorianina o. Huangu, który apelował do chrześcijan Zachodu, by nie dopuszczali do tego, aby uniwersalizm Kościoła był traktowany jako jednolitość form cywilizacyjnych, jak to było w XIX wieku. „Jak dotąd — mówił — chrześcijanie chińscy cierpieli pod podwójnym kompleksem niższości: niższości w stosunku do swych współwyznawców na Zachodzie i zarazem niższości wobec swych współrodaków chińskich". Dopiero gdy chińscy chrześcijanie poczują się równorzędnymi chrześcijanom Zachodu i równocześnie czuć się będą prawdziwymi, kochającymi swój kraj i jego kulturę Chińczykami, Kościół będzie mógł znów zapuścić w Chinach mocne korzenie."

Mimo wszystko wśród uczestników Tygodnia panowało przekonanie, że Kościoła i kultury nie da się rozdzielić. Ks. Danielou, jeden z kierowników zjazdu, wyraził się, że prawdziwa „civitas" (miasto, państwo, okręg cywilizacji) istnieje tylko tam, gdzie zarówno Bóg ma swój dom, jak ludzie mają swoje domy. Bez tego nie ma ani kultury chrześcijańskiej, ani kultury w ogóle.

Przy omawianiu zagadnienia „Kościół mówi wszystkimi językami ludzkimi" prelegent Olivier Lacombes tak zagadnienie to sformułował: „Język Objawienia będzie zawsze grał rolę uprzywilejowaną, podobnie jak kultura, która przez dwa tysiące lat służyła rozpowszechnianiu Dogmatu. Mimo to jednak nie można zapoznawać prawa każdego języka i każdego narodu."

TADEUSZ FELSZTYN

CZEGO NAS UCZY ROBOT?

Przełomowe postępy w nauce zachodzą wtedy, gdy spostrzegamy związki między zjawiskami, które dotychczas wydawały się nam pozbawionymi jakiegokolwiek elementu wspólnego. Gdy Newton spostrzegł, że opadające jabłko i obracająca się dokoła słońca planeta są wspólnie objawem jednej i tej samej siły, powstała teoria powszechnego ciążenia, która po dzień dzisiejszy stanowi jeden z fundamentów naszego opisu przyrody. Gdy Maxwell sprowadził odrębne do jego czasów zjawiska elektryczności, magnetyzmu i światła do wspólnej elektromagnetycznej teorii światła, rzucił on nie tylko podstawy pod późniejszy rozwój fal radiowych, ale i pod całą dzisiejszą teorię atomową.

Podobnym przełomowym momentem była obserwacja Wienera w 1947 roku, że cały szereg zjawisk zachodzących w stworzonych przez człowieka robotach, a więc zarówno przelicznikach elektrycznych, jak i coraz bardziej rozpowszechniających się automatach, ma wyraźne cechy wspólne ze zjawiskami, zachodzącymi w organizmach żywych, przy czym cechy te polegają nie na **fizycznych** przesłankach ich działania, ale są wynikiem czegoś całkowicie innego co dotąd w fizyce traktowano jakgdyby ubocznie tylko, a mianowicie na ich **organizacji**. (cz. I, rozdz. 12) W ten sposób powstała nowa nauka, zwana **cybernetyka**, która — zwłaszcza w dzisiejszej epoce wciąż rosnących tryumfów automatyzacji — coraz bardziej przybiera na znaczeniu.

SYSTEMY DOCELOWE

Przedmiotem nauki tej są **systemy**, a więc zarówno organizmy żywe, jak i stworzone przez człowieka roboty, których działanie nie polega — jak działanie wszystkich systemów przyrody martwej — jedynie na ślepym i bezwolnym poddawaniu się działającym na nie siłom, lecz, które mają jakiś cel i reagują na siły zewnętrzne w taki sposób, aby pomimo chaosu i przypadkowości tych sił cel swój osiągnąć. Cel ten może być rozmaity. Może nim być zachowanie pewnego stanu wewnętrznego, jak np. utrzymanie temperatury w termostacie, czy procentu zawartości tlenu we krwi u żyjącego pod wodą ssaka, lub też pewne oddziaływanie na otoczenie, jak np. lot samokierującej się rakiety ku unikającemu jej samolotowi, lub wreszcie złapanie motyla przez polującego nań ptaka. We wszystkich tych wypadkach reakcja danego systemu (termostatu, wieloryba, rakiety, czy ptaka) na pewne bodźce zewnętrzne (zmiana temperatury, obniżka tlenu we krwi, unik samolotu, lot motyla) nie jest mechanicznym następstwem owego bodźca, lecz jest **reakcją celową**, tak skierowaną, aby zrealizować cel danego systemu, bez względu na to, czy celem tym jest spełnienie przez organizm żywy właściwych mu funkcyj życiowych, czy też został on wprowadzony do danego systemu przez jego konstruktora.

W ten sposób systemy docelowe są jak gdyby oazą w ogólnym świecie bezładu, gdyż nie ulegają ogólnemu prawu entropii wzrastającej, jakie panuje w przyrodzie martwej (cz. III. rozdz. 2), lecz na odwrót, reagują na wpływy zewnętrzne w sposób **zorganizowany**, czyli powiększający, a nie pomniejszający ład. Są to więc wszystko systemy **entropii ujemnej**.

Aby jednak móc reagować celowo na zmienne warunki otoczenia, musi dany system wpierw w jakiś sposób „wiedzieć", że te warunki uległy zmianie i jakiej zmianie, a następnie tę wiadomość wykorzystać w taki sposób, aby — pomimo nieustannych i przeważnie bezładnych zmian warunków zewnętrznych — dojść do swego celu. Musi więc istnieć jakieś urządzenie, które te wiadomości doprowadza ze świata zewnętrznego do wnętrza organizmu, jak i urządzenie, które te wiadomości przekształca na docelową reakcję. Każdy więc system docelowy musi **otrzymywać informacje** i **reagować** na nie.

OTRZYMYWANIE I PRZEKAZYWANIE INFORMACJI

Informacją nazywa Wiener każdą zmianę w warunkach otoczenia jakiegoś systemu, która wymaga jego **dostosowania się**, jeśli system ten ma wypełnić swój cel. Warto by może do tego określenia dodać, że słowo „każda" jest tutaj nie całkiem ścisłe, gdyż w rzeczywistości „informacją" jest tylko ta zmiana w otoczeniu, którą dany system może zarejestrować. Jeśli na przykład wejdę do pokoju, w którym natężenie promieniotwórczości jest śmiertelne, ta zmiana warunków zewnętrznych będzie dla mnie tylko wtedy informacją, jeśli ową promieniotwórczość potrafię stwierdzić. Jeśli nie mam jednak żadnego do tego przyrządu, owa zmiana otoczenia oczywiście nie jest dla mnie „informacją".

Ażeby pewien system mógł reagować na jakąś zmianę otoczenia, musi on mieć urządzenie do otrzymywania tych informacji. Urządzenie to, w najbardziej schematycznej formie, musi zawierać trzy elementy: jakiś element, który przyjmuje daną zmianę otoczenia w postaci **sygnału**, a więc **nadajnik**, dalej element, który ten sygnał przenosi wewnątrz systemu, aby umożliwić jego wykorzystanie, a więc **przekaźnik**, a wreszcie element, który rejestruje dany sygnał, czyli **odbiornik**.

Nadajnik, który jest organem komunikacji między otoczeniem, a systemem, jest z natury rzeczy **selektywny**. Inaczej bowiem informacja, jaką on przekazuje, byłaby zbyt ogólnikowa, aby ją system mógł wykorzystać w sposób celowy. A więc słuchawka telefonu, będąca tutaj nadajnikiem, przejmuje tylko fale głosowe, a nie świetlne, i do tego przyjmuje tylko fale pewnej częstotliwości i pewnego natężenia. Oko ludzkie przejmuje tylko fale świetlne, a nie radiowe, i do tego tylko fale w określonych granicach częstotliwości i natężenia.

W olbrzymiej większości wypadków przekaźnik nie przewodzi informacji, sygnału, przy pomocy energii, otrzymanej z nadajnika, lecz posługuje się energią własną, z innego źródła. A więc np. przewód telefoniczny — energią baterii zasilającej, a nerw wzrokowy — energią, pochodzącą od procesów metabolicznych ciała ludzkiego. Skutkiem tego natężenie przewodzonego sygnału nie stoi w prostym stosunku do natężenia sygnału otrzymanego, lecz może być związane z nim w sposób mniej lub więcej złożony, tak że możliwe jest nawet zablokowanie sygnału zbyt intensywnego, który mógłby uszkodzić odbiornik, lub też uzależnienie intensywności sygnału przewodzonego od innych warunków otoczenia, czy też stanu wewnętrznego systemu w danej chwili.

Przekazanie sygnału trwa jakiś **czas**. Ponadto między poszczególnymi sygnałami musi być jakaś przerwa, inaczej sygnały będą się zlewać ze sobą i staną się niezrozumiałe. Depesza, nadawana alfabetem Morse'go, musi mieć przerwy między literami, a mowa przyspieszona dziesięciokrotnie stałaby się w telefonie niezrozumiała. W każdym przekaźniku musi więc istnieć jakiś system **zablokowania**, uniemożliwiający przejmowanie nowego sygnału w czasie, gdy przekaźnik przewodzi sygnał poprzedni.

Na koniec, sygnał biegnący po przekaźniku ma zwykle inny charakter, niż otrzymany przez nadajnik. Głos w słuchawce telefonicznej przemienia się na prąd elektryczny w przewodniku, fala radiowa, jaką odebrała antena — w prądy elektronów w lampach aparatu telewizyjnego, fala świetlna, przejęta przez siatkówkę oka — w szereg pulsów elektrycznych w nerwie wzrokowym.

PRZEKSZTAŁCANIE INFORMACJI

Ten prosty fakt, że informacje przechodzą poprzez przekaźnik w formie na ogół zmienionej, niejako zakodowanej, zmusza do stosowania jakiegoś systemu odkodowania w odbiorniku. W najprostszych wypadkach to odkodowanie może być po prostu dokonane w sposób odwrotny do zakodowania. Słuchawka odbiornika telefonicznego przekształca prądy elektryczne przekaźnika na fale głosowe odwracając proces, jaki zachodzi w nadajniku. Aparat odbiorczy telewizyjny przemienia prądy elektronowe na fale świetlne stosując, jeśli nie ten sam, to przynajmniej podobny proces, jaki w aparacie nadawczym przemienił fale świetlne na prądy elektryczne.

Nie zawsze jednak związki są tak proste. W przeliczniku elektrycznym nadajnik, zwykle w postaci odpowiednio dziurkowanej taśmy, zawierającej „instrukcje" (właśnie dlatego nadawanie sygnałów nazywa się bardzo często w cybernetyce angielskim słowem „taping", czyli dawaniem rozkazów przy pomocy taśmy), nadaje pewne sygnały, które przekaźnik przemienia na sygnały zupełnie inne, pozornie nie mające żadnego związku z sygnałami nadanymi. Jeśli na przykład sygnałami nadajnika są dane liczbowe równania różniczkowego, jakie należy rozwiązać, odbiornik zapisze je w postaci danych liczbowych, będących rozwiązaniem tego równania.

Oczywiście obie te kategorie sygnałów są tylko pozornie bez związku, gdyż dany system (a więc w naszym wypadku przelicznik) przekształca je zgodnie z regułami, które ustalił z góry jego konstruktor, lub też które operator „nadał" w postaci taśmy z instrukcjami.

Podobnie i umysł ludzki (a mamy wiele wskazań na to, że i umysł zwierzęcy) przyjmuje sygnały, przejęte i nadane przez nadajniki, w zupełnie innej, przekształconej postaci. Fale zagęszczeń i rozrzedzeń powietrza, przejęte przez organy słuchowe, przemieniają się w naszym umyśle na głos, fale świetlne na barwy i kształty, mechaniczne dotknięcie nerwu na ból itp.

Co więcej, podobnie jak w przeliczniku elektrycznym dane końcowe, zapisane na taśmie przez odbiornik, zależą zarówno od całkowitego zespołu danych nadajnika, jak i od systemu instrukcyj, jakie nadaliśmy temu przelicznikowi, podobnie i wynik końcowy tego, w co przekształcają się w naszym umyśle sygnały otrzymane przez nasze „nadajniki" zmysłowe, zależy zarówno od ich zespołu całkowitego, jak i od stanu naszego umysłu w danej chwili. W rezultacie umysł nasz przekształca otrzymywane przez nasze zmysły zjawiska fizyczne nie tylko na „obrazy" w najogólniejszym tego słowa znaczeniu (o czym wie każdy pilny słuchacz poważnej muzyki, w którego umyśle pewne zespoły dźwięków wywołują nieraz bardzo określone obrazy), ale również i na stany uczuciowe, na pewno nie zawarte w sygnałach, otrzymywanych przez organa zmysłowe.

Jeśli z tego punktu widzenia spojrzymy na nasze postrzeżenia, zobaczymy, jak mylne jest twierdzenie Lenina, jakoby nasze postrzeżenia były „kopiami rzeczywistości", a jak słuszne jest na odwrót twierdzenie tomizmu, że są one stopem wrażeń, odebranych przez nasze zmysły, i formy, nadanej im przez nasz umysł.

TEORIA INFORMACJI

Podane powyżej ogólne cechy każdego zespołu odbierania i przekazywania informacji są nie tylko podobieństwami, analogiami, ale są ponadto i wspólną tego zespołu organizacją. Umożliwia ona więc stworzenie matematycznej teorii informacji, a więc nauki, która zjawiska zachodzące w tym wypadku ujmuje w sposób liczbowy. W przeciwieństwie jednak do teoryj matematyczno-fizycznych, gdzie podstawową jednostką każdego równania jest — w tej czy innej formie — energia, tutaj jednostką zasadniczą jest informacja, a więc jednostka organizacji, a nie energii. Już ten sam fakt świadczy o tym, że tego rodzaju teoria lepiej przybliża nas do tego, co się dzieje w mózgu człowieka, gdzie jak to np. stwierdził Sherrington, koncepcja energii nie ma żadnego zastosowania.

Teoria informacji może więc dać nam wiele wskazań dla studiowania systemu nerwowego zwierząt i ludzi, dla zrozumienia jego pracy, dla poszukiwania elementów, niezbędnych z punktu widzenia teorii informacyj, których dotąd nie udało się nam wykryć itp.

Ponieważ jednak stosunki między ludźmi polegają w pierwszej instancji na wymianie informacji, więc teoria informacyj — jak to słusznie podkreśla Wiener — może rzucić wiele światła na życie społeczne człowieka.

Niewątpliwie jednym z najważniejszych środków tej wymiany informacji jest **mowa**. Jeśli spojrzymy na nią jako na środek przekazywania informacji, to — zgodnie z teorią informacji — zauważymy, że w mowie, jak i w każdym systemie sygnałów — mamy pewne części, które bezpośrednio przekazują pewne informacje, inne zaś, które są niejako analogiami taśmy z instrukcjami przelicznika elektrycznego, gdyż mają wprowadzić umysł odbiorcy w taki stan, aby mowa przekształciła się w nim na obrazy, stany uczuciowe i informacje, zamierzone przez mówiącego. Te „taśmy z instrukcjami" są oczywiście inne wśród rozmaitych zespołów ludzi, zależnie od ich przyzwyczajeń, sposobów wyrażania się, stopnia abstrakcyjności, czy obrazowości mowy, zwykle stosowanych porównań, obrazów, przenośni. Można by więc powiedzieć, że podobnie, jak ta sama taśma z instrukcjami wywoła zupełnie inny wynik w zależności od tego, do jakiego typu przekaźnika elektrycznego ją stosujemy, podobnie i ten sam zespół słów wywoła zupełnie inne obrazy, uczucia, czy też wiadomości w umysłach ludzi różnych środowisk, a więc tym bardziej różnych okolic, kręgów cywilizacyjnych i czasów.

O regule tej należy pamiętać zwłaszcza, gdy studiuje się przekazy dawnych czasów. Dopóki nie odcyfruje się układu „taśmy z instrukcjami", dla których przekaz ten był przeznaczony, dopóty nie można zrozumieć istotnej jego treści. A stosowanie do owych tekstów naszych dzisiejszych układów „taśmy z instrukcjami" musi z konieczności rzeczy prowadzić do błędów i do wniosków, na pewno nie zamierzonych przez przekazodawcę.

SAMOREGULACJA

Układ przekazywania informacji jest tylko jedną częścią systemów docelowych. Jeśli system ten ma osiągnąć swój cel pomimo zmiennych warunków otoczenia, które go od tego celu oddalają, musi on otrzymany i odpowiednio przekształcony przez odbiornik sygnał przemienić na jakąś czynność, i w ten sposób z powrotem skierować się na drogę do celu, od którego zmienione warunki otoczenia go oddaliły. Musi więc istnieć jakiś układ **reakcji**.

Najprostszym przykładem takiej reakcji są systemy samoregulujące się. Są one stosowane w technice już od dawna. I tak jeszcze w 1770 roku James Watt skonstruował system samoregulujący szybkość obrotu koła rozpędowego maszyny parowej, polegający na tym, że w miarę zwiększania się szybkości obrotu podnoszą się kulki wahadła kołowego, związanego z kołem rozpędowym przy pomocy przekładni, a ich podnoszenie się z kolei zmniejsza dopływ pary do komory silnika. Zmniejszenie szybkości wywołuje skutek odwrotny.

Podobnym przykładem może być termostat, gdzie wzrost lub obniżenie temperatury powodują ruch wskazówki termometru (np. elektrycznego), co z kolei włącza odpowiedni prąd elektryczny, który uruchamia, zależnie od potrzeby, urządzenie grzejnicze, lub chłodnicze.

W podobny sposób działa zmysł wewnętrzny ssaka, który — gdy jego temperatura się podnosi — uruchamia urządzenia chłodnicze (pocenie się) lub grzejnicze (zwiększone procesy utleniania wewnątrz organizmu), lub odpowiednie reakcje bezwarunkowe wieloryba, które, gdy stężenie tlenu w jego krwi spada poniżej pewnej normy, powodują jego wypłynięcie na powierzchnię wody dla zaczerpnięcia świeżego powietrza.

Rozpatrując znów ten system schematycznie możemy rozróżnić w nim trzy elementy: nadajnik, który nie jest niczym innym jak odbiornikiem układu przekazywania informacyj (a więc kulka w regulatorze Watta, wskazówka termometru w termostacie, odbiorcze komórki mózgowe zmysłu wewnętrznego temperatury u ssaka, czy też komórki mózgowe odbierające sygnały stężenia tlenu we krwi u wieloryba), następnie **regulator**, który porównuje te sygnały z jakąś właściwą dla danego systemu normą i wysyła odpowiedni **sygnał ruchowy** (zwany z angielska „feedback"), a wreszcie **przekaźnik**, który przekazuje ten sygnał odpowiedniemu **urządzeniu ruchowemu**. W regulatorze Watta będzie to więc urządzenie regulujące dopływ pary, nastawione na pewną szybkość obrotową koła rozpędowego, w termostacie prądy uruchamiające chłodnię lub grzejnik, u ssaka mózg, wysyłający sygnał uruchamiający procesy pocenia się czy szybszego utleniania, lub też mięśnie powodujące wypływanie wieloryba.

Bez względu na to, jakby skomplikowany nie był ten schemat w praktyce, zawsze istnieć muszą owe trzy jego zasadnicze elementy i zawsze, podobnie jak to było w wypadku przekazywania informacji, sygnał nadawczy gra tylko rolę bodźca, uruchamiającego pewien proces. Sam bowiem proces zachodzący wewnątrz regulatora zasilany jest energią własną (baterie w wypadku prądów sterujących w termostacie, energia procesów metabolicznych w mózgu ssaka). W ten sam sposób energię przekazywania i energię ruchową (np. urządzenie chłodnicze, czy też ruch mięśni wieloryba) czerpie system osobno, niezależnie od energii sygnału nadajnika.

REGULACJA DOCELOWA

Opisany powyżej system samoregulujący się jest jedynie przykładem najprostszym. W praktyce stosujemy dziś systemy bardziej złożone, regulujące nie tylko pewien stan, ale też i działalność pewnego systemu, aby go utrzymać na drodze do celu. Pilot automatyczny reaguje na sygnały „informujące" go o położeniu samolotu w taki sposób, aby utrzymać jego kurs, rakieta przeciwlotnicza samokierująca się na cel, reaguje na informacje o własnym położeniu i położeniu celu w taki sposób, aby wciąż być na najbliższej drodze do osiągnięcia celu. Zupełnie podobnie lis goniący zająca reguluje ruchy własnego ciała w zależności od sygnałów zmysłowych, które go informują o jego własnym położeniu i o ruchach zająca.

Układ owej regulacji jest podobny, jak w wypadku samoregulacji, z tą tylko różnicą, że obecnie regulator porównuje otrzymywane informacje nie z normą stałą, ale z normą zmienną, będącą przeważnie wynikiem innego szeregu otrzymanych informacyj. W tym wypadku więc sposób przekształcania informacyj, otrzymywanych od odbiorników układu przekazywania informacyj, na sygnały ruchowe jest bardziej złożony, lecz w zasadzie swej nie różni się od tego, co dzieje się np. w przekaźniku elektrycznym.

Dokładne poznanie tego systemu pozwala na budowanie robotów elektrycznych, które naśladują pewne cechy zachowania się zwierząt. I tak np. Grey Walter zbudował elektronicznego „żółwia", który idzie w kierunku światła, lub od niego ucieka, umie unikać przeszkód, „szukać" drogi. Umieszczając odpowiednie źródła światła i odbiorcze fotokomórki w swych „żółwiach", potrafił Walter spowodować, że żółwie „szukały towarzystwa" żółwi „własnego gatunku", a „uciekały" od gatunku wrogiego. Na tej samej zasadzie nie byłoby trudno zbudować „elektronicznego ptaka", który by naśladował wojowniczą postawę samca w pobliżu „własnego gniazda", a jego unikanie walki na „terytorium obcym".

Owe roboty są nie tylko zabawkami konstruktorów, ale i bardzo pożytecznymi modelami, pozwalającymi studiować mechanizm typowych reakcyj organizmów żywych.

Weźmy przykład, nieomal powszechny w życiu organizmów żywych, kiedy ilość równocześnie przyjmowanych sygnałów jest większa, niż pojemność „regulatora". Musi wtedy istnieć jakieś urządzenie selekcyjne, przepuszczające te sygnały, które są „ważniejsze" dla spełnienia celu organizmu. Bardzo prostym przykładem może być urządzenie sieci telefonicznej, w której pewne linie są uprzywilejowane, tzn. że wprowadzone przez nie sygnały przerywają skutki sygnałów już będących w ruchu i połączeń już dokonanych. W organiźmie żywym podobną rolę odgrywają połączenia synaptyczne (rozdz. 1), uruchamiane tylko przy zbiegu więcej niż dwu impulsów elektrycznych, lub ból, który ma na celu danie pierwszeństwa odbioru informacji, sygnalizującej niebezpieczeństwo, wymagające szybkiej reakcji organizmu.

Dalszym krokiem w kierunku automatyzacji może być urządzenie pozwalające na „wybór" najlepszej możliwości. Regulator takiego systemu urządzony jest w taki sposób, że układ „ruchowy" zawiera szereg możliwości, z których regulator „wybiera" (oczywiście zgodnie z regułami, ustalonymi przez konstruktora) tę, która najlepiej odpowiada celowi systemu. I tak np. Ashby Ross zbudował urządzenie o wewnętrznej stałości dynamicznej, które „wybiera" odpowiedni obwód wewnętrzny w zależności od tego, jaki i jak silny nacisk zewnętrzny na nie wywieramy.

PAMIĘĆ I UCZENIE SIĘ

Zarówno przelicznik elektryczny, jak i robot mogą posiadać **„pamięć"**. Jest to jakieś urządzenie mechaniczne, lub elektryczne, które przechowuje w odpowiednio zakodowanej formie wyniki poprzednich operacyj i — na właściwy sygnał — wprowadza je (jednorazowo, lub wielokrotnie) ponownie do regulatora, lub też do jakiejkolwiek innej części systemu. Może to być więc np. stojąca fala elektromagnetyczna w odpowiedniej kolumnie, która — przejęta przez odpowiedni odbiornik — kombinuje się z prądami elektronów, przebiegającymi w danej chwili obwód systemu.

Tego rodzaju „pamięć" pozwala na „uczenie się" robotów. Przy odpowiednio urządzonym programie sygnałów, powtórzenie pewnego sygnału może spowodować uruchomienie „pamięci" i reakcję, która skierowuje ruch robota w pożądanym kierunku. Jeśli np. robot po „ujrzeniu" pewnego sygnału świetlnego zetknął się z przeszkodą, ponowne „ujrzenie" tego samego sygnału może uruchomić — za pośrednictwem „pamięci" sygnał ruchowy, nakazujący robotowi cofnąć się. Wygląda to więc w ten sposób, jak gdyby robot „nauczył się" unikania przeszkody. Kombinując tego rodzaju urządzenia Deutsch skonstruktował maszynę, która naśladuje zachowanie się szczura w znanych doświadczeniach wychodzenia z labiryntu. Po kilku powtórkach robot „nauczył się" zadanie to wykonywać bezbłędnie.

WŁAŚCIWE ZNACZENIE ROBOTÓW

Te i podobne doświadczenia są niewątpliwie bardzo przydatne nie tylko dla poznania mechanizmu działania takich czy innych reakcyj organizmu żywego na bodźce, ale również i z szerszego punktu widzenia, gdyż wskazują nam przeróżne możliwości regulacji wszelkiego rodzaju organizacyj. Nie należy jednak wyciągać z nich zbyt pochopnych wniosków. Jeśli te przeliczniki liczą, „wybierają", „uczą się", to tylko dlatego, że tak je skonstruował ich konstruktor i że przewidział takie ich reakcje. Oczywiście może się zdarzyć, że konstruktor nie przemyślał możliwości swego robota do końca i że w trakcie prób robot wykaże właściwości zupełnie nieoczekiwane. Ale będzie to tylko wynikiem jego danych konstrukcyjnych, które — choć nie doprowadzone przez konstruktora logicznie do końca — tym niemniej istnieją w układzie budowy danego robota.

Robot jednak ani nie „myśli", ani nie posiada świadomości i uczuć, ani też nie może niczego wymyślić, gdyż jest jedynie dziełem ludzkiego umysłu i ludzkich rąk, niejako przedłużeniem ludzkiego umysłu, tak jak kierownica samochodu jest przedłużeniem ludzkich rąk, a narty czy koła roweru przedłużeniem ludzkich nóg.

PRZYSZŁE MOŻLIWOŚCI CYBERNETYKI

Cybernetyka jest nauką organizacji, nauką, która szuka reguł i metod działania pozwalających danemu systemowi osiągnąć pewien cel pomimo wciąż zmieniających się — przypadkowo lub świadomie — warunków otoczenia, które dany system oddalają od jego celu. Ustala ona pewne reguły wspólne wszelkim systemom, ustala pewne prawa ogólne, o których — choć pozornie są one zupełnie oczywiste — jakże często zapomina się w praktyce. A więc np. cybernetyka stwierdza, że zdolność pewnego systemu do skutecznego osiągnięcia celu jest funkcją jego organizacji, skutkiem czego pewne cele są przy danej organizacji nie do osiągnięcia, inne natomiast osiągnie się sprawniej, jeśli wykorzysta się cechy danej organizacji w sposób bardziej z tymi cechami zgodny. Wykazuje ona np. że zdolność „uczenia się", tj. wykorzystywania dawnych doświadczeń, jest bardzo silnie związana z ciągłością organizacyjną i przy zbyt dużej nieciągłości staje się niemożliwa itp. Ponieważ zaś nie tylko roboty i organizmy żywe, ale i organizacje mające regulować stosunki między ludźmi są systemami docelowymi, które dążą do uzyskania pewnego celu pomimo przeszkód natury przypadkowej czy też celowej na ich drodze, więc zasady cybernetyki znajdują zastosowania nawet i do tego zakresu zjawisk. Nie dziw więc, że niektórzy entuzjaści nowej nauki, jak sam Wiener, czy też dominikanin francuski Dubarle, widzą w cybernetyce kierowniczą naukę świata jutrzejszego.

Nie ulega wątpliwości, że ujęcie problemów organizacyjnych zespołów ludzkich i społecznych z punktu widzenia organizacji, dążącej w sposób najbardziej celowy i sprawny ku zakreślonym zamierzeniom, może okazać się bardzo przydatne i dać niejedną praktyczną wskazówkę postępowania. Nie należy jednak nigdy zapominać, że człowiek to nie robot, lecz istota mająca rozum, wolę, uczucie, aspiracje i osobowość, których przeoczenie musi doprowadzić do wielu nieszczęść i katastrof. Nie wystarczy więc, jak to czyni Wiener, starać się dostosować konieczności człowieka jedynie w „organizacji" jego umysłu, ale trzeba również wziąć, jeśli nie w teorii (choć to zawsze jest najlepiej), to przynajmniej w jej praktycznym zastosowaniu, zasadnicze cechy ludzkiej osobowości pod uwagę. Jeśli się tego nie uczyni, to naukowe „posługiwanie się istotami ludzkimi przez ludzi", (tak brzmi tytuł ostatniej książki Wienera) zamiast być korzyścią dla ludzkości, stanie się jej przekleństwem.

Dr Tadeusz Felsztyn

*) Rozdział z będącego w druku drugiego wydania książki „Świat w oczach współczesnej nauki". Wszystkie odsyłacze odnoszą się do tej książki.

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

MARZEC 1956

LEON KOWNACKI

DEMOKRACJA JEDENASTU

„Nie byłoby przesadą stwierdzenie — mówił wicepremier sowiecki, Mikojan — że od czasów Lenina XX zjazd partii jest najważniejszym zjazdem w historii naszej partii. Duch leninowski i leninizm przenikają całą naszą pracę i nasze uchwały, jak gdyby Lenin żył i znajdował się wśród nas". Odwoływanie się do leninowskiej tradycji było motywem przewodnim przemówień na zjeździe; w tradycji tej szukano oparcia dla głoszonej od trzech lat zasady „zbiorowego przywództwa".

XX zjazd nie przypominał jednak kongresów partyjnych wczesnego okresu rewolucji, gdy partię bolszewików rozdzierały spory wewnętrzne, a silna liczebnie „opozycja robotnicza" zagrażała jej jedności. Nie przypominał on nawet kongresów późniejszych, gdy decyzje polityczne zapadały wprawdzie gdzie indziej, lecz na sali obrad zdarzały się gorące starcia, a dyskusja nie pomijała zagadnień zasadniczych. Dyskusja na XX zjeździe była blada, krytyka nie przekraczała dozwolonych granic, nikt nie pytał członków Prezydium, dlaczego godzili się przez lat dwadzieścia z „kultem jednostki potępionym już przez Marksa a następnie przez Lenina". Zjazd potulnie i jednomyślnie uchwalił rezolucje streszczające program polityczno - gospodarczy przedstawiony przez Chruszczewa i wybrał do Komitetu Centralnego wszystkich wyznawców dawnego „kultu jednostki". Inni byli ludzie i inne czasy. Potępiona szkoła Stalina zostawiła trwałe ślady w umysłowości uczestników zjazdu.

PIERWSZE ZJAZDY PARTII

Co mieli na myśli leaderzy partyjni odwołując się do Lenina i jego zasad rządzenia? Okres rządów Lenina był okresem stopniowego ograniczania „demokracji wewnątrzpartyjnej" i koncentracji władzy. Suwerenne początkowo zjazdy zbierały się zbyt rzadko i były zbyt liczne, aby rozstrzygać skutecznie zasadnicze zagadnienia polityki bieżącej. VII zjazd z marca 1918 roku był ostatnim, na którym decyzje zapadały większością głosów. Już w tym okresie ośrodkiem władzy zaczął się stawać Komitet Centralny partii, przytłoczony wszakże autorytetem Lenina. W marcu roku 1919, na VIII zjeździe, jeden z jego uczestników, Osiński, skarżył się, że „cała robota partyjnaześrodkowuje się w Komitecie Centralnym, a nawet Komitet, jako instancja kolegialna, nie istnieje", gdyż „towarzysze Lenin i Swierdłow załatwiają sprawy porozumiewając się ze sobą lub z towarzyszami kierującymi tym lub innym działem pracy państwowej".(1) Zjazd w obliczu ówczesnej wojny domowej, postanowił jednak wzmocnić władzę Komitetu Centralnego; ograniczył w tym celu jego skład do 19 członków i 8 kandydatów oraz nakazał mu zbierać się co dwa tygodnie.

Tenże zjazd powziął decyzję, która za kilka lat miała zaważyć rozstrzygająco na organizacji centralnych władz partyjnych: powołał on do życia, jako emanację KC, Biuro Polityczne i Biuro Organizacyjne, każde w składzie 5 osób oraz sekretariat złożony z „odpowiedzialnego sekretarza" i 5 pomocników technicznych. W miarę jak rosła liczba członków Komitetu Centralnego, malał jego ciężar gatunkowy. W roku 1923 liczył on 40 członków i 15-20 kandydatów, w roku 1952 — 125 członków i 111 kandydatów, na ostatnim zjeździe liczby te podwyższono do 133 członków i 127 kandydatów. Nikt nie powiększa liczebności kolegium, aby obdarzyć go większą władzą; im kolegium liczniejsze, tym trudniej mu podejmować decyzje i tym niezbędniejsze stają się jego nominalne organy wykonawcze, na które przechodzi władza faktyczna.

ZWIERANIE SIĘ KLESZCZY

W roku 1923, na XII zjeździe, na którym Lenin nie był już obecny, Zinowiew podjął próbę restytucji władzy Komitetu Centralnego, identyfikując dyktaturę Komitetu z dyktaturą partii. „Musimy mieć silny i władczy Komitet Centralny, który by przewodził wszystkiemu... sowietom, związkom zawodowym, prowincjonalnym komitetom wykonawczym i całej klasie robotniczej... Na tym polega jego rola przywódcza, w tym się wyraża dyktatura partii."(2) Próba spełzła na niczym, gdyż przeciwstawił się jej Stalin, zazdrosny o uprawnienia sekretariatu.

W ten sposób zwężała się w miarę upływu czasu demokratyczna podstawa partii. X zjazd z roku 1921 zezwolił wprawdzie na krytykę osób i grup wewnątrz partii, zakazał jednak organizowania opozycji, ochrzciwszy ją mianem „frakcjonalizmu". Zwierały się zwolna kleszcze dyscypliny partyjnej. Lenin na tymże zjeździe atakował ostro zwolenników swobody dyskusji. „Spędziliśmy wiele czasu na dyskusjach — oświadczył on — lecz muszę powiedzieć, że o wiele lepiej byłoby obecnie dyskutować z karabinami niż z tezami opozycji. Nie potrzebujemy opozycji, towarzysze, nie jest na to pora! Po jednej lub po drugiej stronie — z karabinem, nie z opozycją!"(3)

Idea wyrównywania sporów partyjnych karabinami padła na żyzną glebę, podjął ją Stalin i zrealizował setkami tysięcy plutonów egzekucyjnych torujących mu drogę do władzy. Lecz już władza Lenina u schyłku jego życia była ogromna. Przerastał on o głowę swych rywali, był mózgiem i motorem rewolucji. Obce mu było wszakże właściwe Stalinowi otaczanie się objawami bizantyjskiego kultu; spędził znaczną część życia na Zachodzie, w jego metodach sprawowania dyktatury pierwiastki europejskie przeważały nad azjatyckimi. Niemniej był dyktatorem partii, a przez nią samowładcą Rosji.

MĘTNE KONCEPCJE

Proces przemian, jakim ulegała partia bolszewików w pierwszym okresie rewolucji, sprowadzał się do stopniowej identyfikacji woli szeregów partyjnych z wolą Komitetu Centralnego, woli Komitetu Centralnego z wolą jego Politbiura, a woli Politbiura z wolą szefa partii. Chruszczew i Mikojan twierdzili na XX zjeździe, że proces ten uległ częściowemu odwróceniu: wolę partii reprezentować ma obecnie, jak w koncepcji Zinowiewa, Komitet Centralny. „Dla wszystkich jest oczywiste — mówił Chruszczew — jak wzrosła w ostatnich latach rola KC jako kolektywnego kierownika naszej partii." Na czym polega ta zwiększona rola Komitetu Centralnego? O ile można sądzić ze słów Chruszczewa, na krytyce i naprawianiu błędów popełnionych przez działaczy partyjnych. „Kiedy wychodziło na jaw, że ten lub ów kierowniczy działacz partii popełnia błędy w swej pracy, KC KPZS podejmował jednomyślnie niezbędne kroki dla naprawienia tych błędów. Na posiedzeniach plenarnych KC KPZS poddawano bolszewickiej krytyce, bez względu na osoby, działalność szeregu organizacji partyjnych i osób, w tym także działalność członków KC. Pewni pracownicy, którzy zawiedli wielkie zaufanie okazane im przez partię, zostali usunięci z Komitetu Centralnego." KC stał się więc rodzajem parlamentu partyjnego obdarzonego przywilejem usuwania swych członków. Ustalanie polityki państwowej należy natomiast do Prezydium KC, powiązanego osobowo z rządem Związku Sowieckiego. „Prezydium KC stało się systematycznie działającym organem kolektywnym, w którego polu widzenia znajdują się wszystkie najważniejsze problemy życia partii i kraju."

Wszystko to jest bardzo niejasne. Podejrzana wydaje się przede wszystkim jednomyślność KC w potępianiu błędów działaczy partyjnych. Jednomyślność ciała zbiorowego w ocenie polityki jest objawem niezmiernie rzadkim. Każda polityka, nawet jednostkowa, ma swoich przeciwników i zwolenników, cóż dopiero, gdy jest wyrazem działalności kolegium. Do uznania polityki za błędną wystarczy przeciwstawienie się jej większości organu kontrolującego. Gdy organ ten potępia jednomyślnie pewną politykę, nasuwa przez to przypuszczenie, że część jego członków, będąca prawdopodobnie większością, terroryzuje mniejszość, zmuszając ją do milczenia. W skład KC KPZS wchodzą również członkowie jego Prezydium; jednomyślność KC w „poddawaniu bolszewickiej krytyce" ich błędów każe się domniemywać z ich strony potępienia własnej polityki czyli „pokajanja". Zeszłoroczna degradacja Malenkowa, przyznającego się do niepopełnionych grzechów, dostarcza tu zresztą wymownego przykładu. Nie są to objawy „demokracji wewnątrzpartyjnej", lecz pogrzebanego rzekomo stalinizmu.

Gdy się czyta mowy leaderów sowieckich, deklamujących o zaletach „kolektywnego kierownictwa", trudno się oprzeć wrażeniu, że pojęcie rządów kolegialnych i kolegialnej odpowiedzialności jest im w istocie rzeczy obce. Chruszczew mówił o błędach działaczy partyjnych i ich odpowiedzialności; w jego koncepcji „kolektywnego kierownictwa" nie ma miejsca na odpowiedzialność kolegialną. Za błędy polityki kolegialnej odpowiada zawsze jednostka, choćby była tylko wykonawcą tej polityki. Kolegium jest nieomylne, Komitet Centralny i jego Prezydium reprezentują najwyższą mądrość partii, a uchwały ich może skazić tylko złe wykonanie. „Ten lub ów" działacz partyjny pada wówczas ofiarą i kolegium odzyskuje splendor nieomylności. Według Kaganowicza, świadczy to, „że kolegialne kierownictwo partii jest jednolite i zespolone na partyjnej, pryncypialnej podstawie marksistowsko-leninowskiej".

DWA KIERUNKI

W istocie rzeczy jednolitość ta jest wątpliwa. Przemówienia przywódców na zjeździe cechowały pozory jednomyślności, lecz w tym przykładnym unisono odzywały się lekkie dysonanse. Nie wszyscy członkowie rządzącego kolegium decydują się na całkowite zerwanie ze stalinizmem i „kultem jednostki". Uchwały zjazdu, chwaląc zasadę „zbiorowego przywództwa" nie atakują bezpośrednio Stalina. Rzecznikiem antystalinowskiego kierunku à outrance był Mikojan, który nie tylko piętnował w ostrych słowach kult jednostki i ujemny wpływ tego kultu na działalność partii, lecz nie cofnął się nawet przed krytyką przedśmiertnego dzieła Stalina o „Ekonomicznych problemach socjalizmu", uznanego przed trzema laty za genialny wkład do doktryny. Dzieło to, według Mikojana, wymaga, „aby nasi ekonomiści zbadali je gruntownie i zrewidowali w sposób krytyczny z punktu widzenia marksizmu-leninizmu". Co więcej, zażądał on rewizji historii partii i rehabilitacji niektórych ofiar stalinowskiego terroru.

Rzecznikiem grupy stalinowców zdaje się być Kaganowicz. I on wprawdzie przyłączył się do chóru, lecz śpiewał raczej półgębkiem i bez przekonania. „Komitet Centralny odważnie... postawił sprawę walki z kultem jednostki. Nie jest to łatwy problem. Jednakże KC dał słuszną, marksistowsko-leninowską, partyjną odpowiedź..." Stalinowcy są w mniejszości, więc milczą.

Chruszczew jest, jak się zdaje, wyrazicielem większości. Według oficjalnych sprawozdań ze zjazdu, mowę Mikojana przerywały „huczne oklaski", mowę Kaganowicza oklaski „huczne i długotrwałe", a referat Chruszczewa „burzliwe oklaski", przy czym referatu tego wysłuchano „z olbrzymią uwagą". W warunkach sowieckiego bizantynizmu natężenie oklasków może być poniekąd miarą ciężaru gatunkowego mówcy.

RZEMIEŚLNICY REWOLUCJI

Jest nieprawdopodobne, aby którykolwiek z członków Prezydium pragnął powrotu ery stalinowskiej. Nowy dyktator — to dla wielu z nich relegacja, zsyłka lub kula nagana w tył czaszki. Koncepcja rządów kolegialnych pozwala im na utrzymywanie chwiejnej równowagi we własnym środowisku i daje poczucie względnego bezpieczeństwa osobistego, zwiększając przy tym atrakcyjność komunizmu w oczach neutralistów Zachodu. Ma ona też jednak swe strony ujemne: zmusza do liczenia się z nastrojami mas, wymaga pewnego rozluźnienia knebli nałożonych na społeczeństwo, nie pozwala na nadmierne przykręcanie śruby surowego życia. Stąd obietnice Chruszczewa zwiększenia produkcji przemysłu lekkiego i rolnictwa, wyrownania rażących nierówności płac, wprowadzenia 7-godzinnego dnia i 5-dniowego tygodnia pracy. Raz jednak rozpoczęty proces odwrotu od idei jedynowładztwa może się nie zatrzymać tam, gdzie chciałaby go zahamować góra partyjna, lecz potoczyć się dalej, objąć organizacje regionalne i sięgnąć do mas partyjnych. Lód stopniał nieco na wierzchu, powłoka lodowa w głębi zostaje nietknięta, lecz jeśli powierzchni nie zetnie nowy mróz, proces tajania będzie postępował. Tego obawiać się może przewidujący Kaganowicz.

Demokracja jest dla leaderów sowieckich wyrazem bez znaczenia, choć propagandowo użytecznym. Drogę do władzy torowała im nie kartka wyborcza, lecz intryga polityczna i służalczość wobec despoty. Wychowani w ustroju autokratycznym, nie potrafiliby rządzić państwem w warunkach względnej swobody politycznej. Żaden z nich nie posiada zręczności, zmysłu organizacyjnego i autorytetu Lenina, umiejącego trzymać w ryzach niesforną początkowo partię i wywalczyć dla niej monopol władzy. Nie są ideologami, lecz rzemieślnikami rewolucji. Szpary, które poczynił Chruszczew w nienaruszalnym dotąd murze leninowskiej doktryny, korygując jej tezę o nieuchronności wojny ze światem kapitalistycznym i dowodząc możliwości zdobycia władzy przez komunistów środkami parlamentarnymi, mogą się rozszerzyć w wyłom, przez który runie ich dyktatura, a demokracja 11 obejmie 133 członków KC, potem zjazdy partyjne, a wreszcie 7 milionów członków partii. Proces odwrotny dobiegłby wtedy końca: w historii partii powtórzyłby się pierwszy, romantyczny okres rosyjskiej rewolucji.

SZUKANIE SUKCESÓW

Manifestacyjna pewność siebie przywódców na zjeździe może ukrywać niepewność i obawy o przyszłość. Muszą oni żeglować między Scyllą dyktatury a Charybdą demokratyzacji partii; w tej niebezpiecznej żegludze starają się podbudować swój system sukcesami w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Gdy zbraknie charyzmy dyktatora, sukces staje się legitymacją despotycznej władzy, lecz niepowodzenia są wtedy nieraz jej końcem. Prezydium KC KPZS gorączkowo szuka sukcesów, a Zachód z poświęceniem godnym lepszej sprawy sukcesy mu ułatwia.

XX zjazd był ważnym wydarzeniem w życiu KPZS i nie mniej ważnym dla jej ekspozytury w Polsce. „Trybuna Ludu" drukuje in extenso przemówienia leaderów sowieckich, nie szczędząc im entuzjastycznych komentarzy. „Z zapartym tchem czytaliśmy obszerny referat sprawozdawczy Komitetu Centralnego, przedstawiony na XX zjeździe KPZS; w sposób konkretny i ścisły mówi on o sprawach, które obchodzą najbliżej również i nas... Liczby podają tu rękę marzeniom... Nowy, olbrzymi krok naprzód do komunizmu..."

Co dla „Trybuny" jest krokiem do komunizmu, może być równie dobrze Thermidorem rewolucji.

Leon Kownacki

(1) E. H. Carr. The Bolshevik Revolution. Vol. I, str. 193.
(2) Idem, str. 231.
(3) Idem, str. 199.

SPRAWY AKTUALNE

ODBUDOWA WARSZAWY

„Sztandar Młodych" zamieszcza rozmowę z zastępcą przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej, St. Harasimowskim o odbudowie stolicy w minionym sześcioleciu i zadaniach na przyszłość. W okresie ubiegłych sześciu lat Warszawie przybyło 250.000 ludności, która przekroczyła już milion. 40% mieszkańców Warszawy pracuje w przemyśle i budownictwie. Komunikacja uległa polepszeniu, zwiększyła się liczba wozów tramwajowych, autobusów i trolejbusów; w roku 1949 na 1 wóz przypadało 1.700 mieszkańców, obecnie przypada 960. W okresie 6 lat wybudowano 116 tysięcy izb, przeważnie w nowych osiedlach (Praga II, Grochów, Młynów, Ochota, Okęcie, Sielce). Stolica ma jednak nadal za mało szkół, przedszkoli i żłobków.

W ciągu najbliższych pięciu lat ciężar budownictwa ma być przeniesiony na teren śródmieścia i okolic, mających już kanalizację, przewody i instalacje podziemne; w ten sposób zabudowa całych dzielnic zostanie przyspieszona. Przyspieszona ma być także budowa izb mieszkalnych, zamierza się wybudować ich o 40-60% więcej niż w planie sześcioletnim.

Postępom w odbudowie Warszawy poświęca także artykuł „Tygodnik Demokratyczny", przypisując je wszakże „przeobrażającej sile naszego ustroju", który stworzył odpowiedni klimat dla zapału i wysiłku ofiarnego obywateli. Pismo przyznaje jednak, że warunki mieszkaniowe w stolicy są wciąż niezadowalające, pomoc lekarska nie działa sprawnie, a komunikacja miejska przysparza wiele kłopotów.

ADWOKATURA W POLSCE

Pomimo nawoływań do przestrzegania „praworządności ludowej" i potępienia zasady, że obrońca w procesie przeszkadza jedynie wymiarowi sprawiedliwości, stosunek prokuratora do adwokata zdaje się nie ulegać zmianom. „Trybuna Ludu" opisuje incydent z rozprawy sądowej w sądzie warszawskim o spowodowanie katastrofy tramwajowej przy ul. Odrowąża. W czasie jednej z przerw podszedł do obrońcy B. prokurator D. i zażądał wydania mu kartki, wręczonej tego dnia obrońcy przez jego klienta. Gdy obrońca odmówił, został wezwany do gabinetu zastępcy szefa prokuratury stołecznej, który powtórzył żądanie, a na ponowną odmowę oświadczył obrońcy, że jest zatrzymany, kartka zaś zostanie mu odebrana w drodze rewizji. Prokurator D. zażądał od B. dowodu osobistego i poinformował go, że wezwie milicjanta i przeprowadzi osobiście rewizję.

Incydent zakończył się przeproszeniem adwokata przez szefa prokuratury, lecz w stosunku do prokuratora D. nie wyciągnięto żadnych konsekwencji. Redakcja „Trybuny" zwróciła się w tej sprawie do organizacji partyjnej prokuratury stołecznej, gdzie jej wyjaśniono, że „prokuratorzy bronią interesów władzy ludowej, obrońcy natomiast często podważają jej autorytet... zamiast pomóc w odnalezieniu prawdy obiektywnej, starają się za wszelką cenę wybronić swoich klientów". Prokurator D., zdaniem sekretarza organizacji, postąpił niewłaściwie, ale merytorycznie miał rację.

„Trybuna" nie podziela poglądu sekretarza i w dłuższym wywodzie stara się dowieść, że postępowanie prokuratora D. było niesłuszne i niedopuszczalne. Obrazek jest jednak charakterystyczny, incydent zdarzył się nie na głębokiej prowincji, lecz w stolicy, pod okiem władz centralnych, wydając nieszczególne świadectwo pojęciom o „praworządności ludowej".

Z drugiej strony, o ile można sądzić z obszernego artykułu w tygodniku „Po Prostu", obecny poziom adwokatury w Polsce jest przerażająco niski. Autor artykułu oświadcza, że adwokaturę tę toczy choroba, której symptomami są „pogoń za nieuczciwym zyskiem, naganiactwem klienteli, nadużywanie ludzkiego zaufania i wykorzystywanie ludzkiej łatwowierności, wykorzystywanie trudnej sytuacji życiowej obywatela w celu osiągnięcia korzyści osobistych i zdobycia pieniędzy... podobne wypadki są częste i szerzą się niepokojąco". Władze nie reagują na te zjawiska, zasłaniając się teorią „przeżytków kapitalizmu", które prędzej czy później przeminą. Autor nie podziela tej teorii, przypominając, że były już w Polsce dwie weryfikacje adwokatów i że od lat 10 napływają do adwokatury nowe kadry, demoralizacja wszakże nie tylko nie zanika, lecz wzrasta. „Adwokat M. z Warszawy miał w ciągu swej kilkuletniej pracy w adwokaturze dziesięć spraw dyscyplinarnych o wszelkiego rodzaju wykroczenia. Wszystkie zakończyły się dla niego o tyle pomyślnie, że obecnie może spokojnie odpowiadać w jedenastej. Adwokat K. miał takich spraw... tylko 4, ale... niektóre z nich trwały 8 lat... Wymierzone kary były bardzo łagodne i adwokatowi K. nie opłacało się od nich odwoływać. Adwokat G. z Wrocławia pobierał nadmierne honoraria, kaperował i wyzyskiwał klientów... Podjęto przeciw niemu dochodzenie, które potwierdziło zarzuty. Mimo to w pewnym momencie sprawę przerwano i odłożono do akt..."

Skład nowych kadr adwokackich pozostawia, według autora, wiele do życzenia. „Dobór kandydatów na aplikację odbywa się w atmosferze protekcji i kumoterstwa. Wśród młodzieży prawniczej... istnieje przekonanie, że bez silnych pleców do adwokatury dostać się nie można. Rady adwokackie odrzucają corocznie setki podań o wpisanie na listę aplikantów, listy są jednak wypełnione do ostatniego miejsca. Autor wymienia aplikantów liczących ponad 50 lat, jeden z nich, aplikant adwokacki z Krakowa, liczy sobie już 63 lat... Wpisy na listę aplikantów następują na zlecenie Ministerstwa Sprawiedliwości, przy czym aplikantami zostają nieraz osoby wątpliwej konduity moralnej.

Minister sprawiedliwości korzysta również szeroko ze swego prawa wpisywania na listę adwokatów ludzi „o nieskazitelnym charakterze", interpretując tę nieskazitelność w sposób dość swoisty. Z protekcji Ministerstwa Sprawiedliwości zostają adwokatami ludzie nie przygotowani do tego zawodu, obciążeni zarzutami natury moralnej lub nawet karani sądownie. Sprzeciwy rad adwokackich nie odnoszą skutku. „Ministerstwo kazało wpisać na listę adwokacką pewną osobę, a gdy rada adwokacka prosiła o nadesłanie jej opinii, odpowiedziano jej, żeby w przyszłości nie zwracać się w podobnych wypadkach o opinie co do osób, które Ministerstwo poleciło wpisać na listę..." Osoba ta po kilku miesiącach została skazana przez sąd karny. Schronienia w adwokaturze, oświadcza autor, szukają ludzie zwalniani z sądownictwa lub prokuratury za nieudolność lub nadużycia.

Istnieje w Polsce nadmiar adwokatów, wywołujący pogoń za klientem i nieuczciwym zyskiem. Adwokaci pracują w zespołach adwokackich, lecz ich zarobki są bardzo nierówne. Niektórzy, zwłaszcza młodzi, zarabiają po kilkadziesiąt złotych miesięcznie, inni, tzw. „rekiny" — po pięć i więcej tysięcy. Wysokość zarobków zależy od rozległości wpływów i stosunków adwokata w sferach rządzących.

Część adwokatów — pisze autor — mająca należyte kwalifikacje etyczne i zawodowe, „patrzy z bólem i niepokojem na obecną sytuację". Starania adwokatów o jej naprawę i uchwały rad adwokackich są jednak bezskuteczne, gdyż „sami adwokaci nic nie mogą zmienić... nie mają nic do powiedzenia w sprawach swojego zawodu". Samorząd adwokacki jest fikcją. Ministerstwo Sprawiedliwości „mianuje, odwołuje i zmienia członków władz adwokackich". Nazywa się to „komisarycznym zarządem".

Autor proponuje środki zaradcze: ściganie nadużyć, usunięcie z adwokatury „elementów przypadkowych i zdemoralizowanych", zmianę obecnego systemu doboru nowych kadr do adwokatury, zerwanie z polityką protekcji, restytucję samorządu adwokackiego. Należy, zdaniem autora, „ograniczyć wydatnie kuratelę, jaką sprawuje nad adwokaturą Ministerstwo Sprawiedliwości, a która, jak dotąd, adwokaturze na zdrowie nie wychodzi".

Artykuł, nawet w okresie „odwilży", wyróżnia się śmiałością poglądów i ostrością krytyki stosunków w „uspołecznionym" świecie adwokackim.

BILETY DO KIN

„Bileciki... komu bilety do kina?" — „Masz cztery na ten seans? Po ile?" — „Jak dla pana po 15 złotych. Mam dwa, resztę zaraz przyniosę." Transakcja szybko dochodzi do skutku. 42 zł. czystego zysku na czterech biletach. Tymczasem w kolejce przed kasami wybucha awantura. „Ten w czapce nie stał tutaj" — stwierdza jakaś energiczna niewiasta. Zakrzykuje ją gromada wyrostków: „Ślepa, czy co? Sama nie stała!..."

Takie obrazki — pisze „Życie Warszawy" — ujrzeć można przed każdym kinem warszawskim podczas wyświetlania ciekawszych filmów. Zorganizowane szajki wyrostków uczyniły sobie proceder zawodowy z pokątnej sprzedaży biletów, wykupując je zawczasu w kasach i odprzedając potem po wygórowanych cenach. Dzienne zarobki z tego tytułu dochodzą podobno do 200 złotych. Inicjatywa prywatna w ustroju socjalistycznym nie zanika.

Warszawiacy są swoją drogą niecierpliwi, woląc przepłacać, aby ominąć kolejkę. Przed kinami londyńskimi stoją długie kolejki Anglików, moknąc nieraz na deszczu, ale żaden z nich nie przyjąłby propozycji kupna biletu po wyższej od nominalnej cenie. Stanie w ogonku przed kinem należy do zwyczajowych przyjemności week-endu.

PRACA KOBIET

„Express Wieczorny" informuje, że liczba kobiet we wszystkich gałęziach krajowej produkcji, oprócz rolnictwa, wynosi 31% ogółu zatrudnionych. Liczba studiujących dziewcząt na wyższych uczelniach technicznych wzrosła w okresie dziesięciolecia 6-krotnie. Kobiety stanowią 45% ogółu pracowników naukowych we wszystkich uczelniach. W samorządzie spółdzielczym pracuje 25.000, w radach narodowych 36.000 kobiet.

KRONIKA ŻYCIA KRAJU

V PLENUM KC PZPR

W dniach 8 i 9 lutego odbyło się V plenum Komitetu Centralnego PZPR, poświęcone sprawom rolnictwa. Referat zasadniczy wygłosił członek Politbiura Z. Nowak, po czym plenum przyjęło uchwałę „O rozwoju rolnictwa w latach 1956 - 1960 i zagadnieniach partii na wsi".

Przedmiotem uchwały jest plan podniesienia produkcji rolnej w najbliższym pięcioleciu o około 25%, przy wzroście produkcji roślinnej o ok. 22%, a produkcji zwierzęcej o ok. 29%. Środkami do tego celu mają być: zwiększenie kredytów i inwestycji w rolnictwie, dostarczenie chłopom tysięcy nowych maszyn rolniczych, upowszechnienie naukowych metod gospodarki rolnej i — last but not least — przyspieszenie rozwoju spółdzielczości produkcyjnej. Liczba spółdzielni produkcyjnych ma objąć w ciągu pięciolecia 25-30% ogólnego obszaru ziemi chłopskiej (obecnie obszar ten wynosi 10,6%). Kolektywizacja zatem, której tempo ostatnio osłabło, ma znowu ostro ruszyć z miejsca. Przejście do wielkiej, zmechanizowanej, opartej na zasadach naukowych gospodarki rolnej — głosi uchwała — to najpewniejsza i najszybsza droga rozwoju sił wytwórczych rolnictwa. Środkiem przyspieszenia kolektywizacji ma być przede wszystkim nacisk ekonomiczny: spółdzielnie będą korzystały z pomocy państwowej w znacznie większych rozmiarach niż gospodarstwa indywidualne. „Uważamy — mówił Nowak — że spółdzielnie produkcyjne winny być uprzywilejowane. Mówimy o tym otwarcie wobec chłopów i wobec całego narodu, któremu trzeba pokazać perspektywę zawartą w przebudowie socjalistycznej rolnictwa". Gospodarstwom indywidualnym będzie się nadal pomagało, ale nie za wiele, tyle tylko, aby wycisnąć z nich „możliwości produkcyjne".

Spółdzielnie korzystały od początku z przywilejów, których gospodarstwa indywidualne były pozbawione, lecz polityka ta w bieżącym pięcioleciu ma ulec wzmocnieniu: upośledzenie chłopa indywidualnego wzrośnie. Spółdzielnie są jednak niewydajne, a przy tym obejmują niewielki tylko odsetek ziemi uprawnej, w jaki więc sposób tow. Nowak chce pogodzić ich faworyzowanie z zadaniem podniesienia produkcji rolnej, pozostanie jego zagadką. Partia obraca się nadal w błędnym kole.

WYKONANIE PLANU GOSPODARCZEGO NA ROK 1955

Komunikat Głównego Urzędu Statystycznego o wykonaniu narodowego planu gospodarczego na rok 1955 podaje, że plan produkcji przemysłowej został wykonany w 103,4%. Produkcja przemysłu socjalistycznego wzrosła w porównaniu z rokiem 1954 o 11%. Produkcja wielu środków wytwórczości, jak surówki, stali, wyrobów walcowanych, aluminium, węgla kamiennego, koksu, gazu ziemnego, maszyn i urządzeń dla hutnictwa i górnictwa, maszyn rolniczych, wagonów towarowych i osobowych, papieru i cementu przekroczyła normy planu; normy te przekroczono również w dziedzinie niektórych przedmiotów spożycia, jak tkaniny bawełniane, wyroby dziewiarskie i pończosznicze, rowery, odbiorniki radiowe, meble, pieczywo, mleko, masło i sery, konserwy rybne, wino, cukierki i papierosy. W wielu innych dziedzinach są jednak niedociągnięcia. Tak więc, nie wykonano planu wydobycia rud żelaza i miedzi, produkcji obrabiarek do metali, parowozów, samochodów ciężarowych i motocykli, nawozów sztucznych, obuwia skórzanego i tkanin z czystej wełny, cukru i piwa, mięsa i tłuszczów zwierzęcych, oraz innych przedmiotów powszechnego użytku.

Wartość produkcji rolnej wzrosła o 3%, co stanowi 97% planu. Powierzchnia zasiewu pod zbiory 1955 roku zwiększyła się o ponad 170 tysięcy ha, plan zagospodarowania odłogów wykonano jednak tylko w 40%. Plony zbóż były dobre, o 15% wyższe niż w roku 1954, zły był za to urodzaj ziemniaków. Pogłowie zwierząt gospodarskich wzrosło i wynosiło w czerwcu roku 1955: było 7,9 mln. sztuk, trzody chlewnej 10,9 mln. sztuk, owiec 4,2 mln. sztuk.

Produkcja PGR-ów wzrosła w porównaniu z rokiem 1954 o 12%, nie wykonały one jednak ani planu produkcji, ani planu dostaw. Liczba POM-ów osiągnęła 424, liczba GOM-ów wynosiła ponad 2.900. Spółdzielni produkcyjnych było w końcu roku ubiegłego 9.963.

Liczba izb mieszkalnych oddanych do użytku w miastach wynosiła ok. 155.000.

ROCZNIK STATYSTYCZNY

„Trybuna Ludu" informuje, że w pierwszych miesiącach roku bieżącego ma się ukazać Rocznik Statystyczny, obejmujący dane za lata 1953 i 1954. Będzie on zawierał wiadomości z zakresu przemysłu, rolnictwa, inwestycji i budownictwa, transportu i łączności, obrotu towarowego i cen, handlu zagranicznego, budżetu państwa, dochodu narodowego, zatrudnienia, płac oraz wiele innych. Znajdą też w nim miejsce liczby „pozwalające porównać zasadnicze wskaźniki rozwoju gospodarki Polski w stosunku do lat 1937 (1938) i 1949".

Rocznik będzie wydawnictwem Głównego Urzędu Statystycznego. Prezes tego Urzędu oświadcza, że będzie to wydawnictwo ogólnie dostępne, które „zaspokoi w dużej mierze zapotrzebowanie na informacje liczbowe dotyczące rozwoju Polski i wypełni lukę, jaka istniała dotychczas w tym zakresie".

Po ukazaniu się Rocznika można będzie osądzić, w jakiej mierze „wypełnia on lukę". Cechą statystyki komunistycznej jest niechęć do cyfr absolutnych i poprzestawanie na wskaźnikach procentowych wykazujących nieuchronnie wzrost wytwórczości we wszelkich dziedzinach. Utrzymanie tego systemu nie zaspokoi braku wiadomości o gospodarce Polski w latach powojennych. Interesujące też jest, jakie światło rzuci nowy Rocznik na rozwój stosunków handlowych ze Związkiem Sowieckim, Chinami i krajami demokracji ludowych; stosunki te, jak wiadomo, mają charakter „braterski".

GUS powinien rozważyć, czy na pierwszej stronie Rocznika nie należałoby, jako motto, wydrukować słów Chruszczowa: „Nie rozumiemy, po co ktokolwiek wkraczałby do obcego kraju, jeżeli nie dla wypompowania go".

Z ŻYCIA PARTII

„Trybuna Ludu" krytykuje odgradzanie się organizacji partyjnych od społeczeństwa. Na tzw. „otwarte" zebrania partii zaprasza się wprawdzie bezpartyjnych, lecz jedynie w celu wysłuchania referatu, po czym wyprasza się ich z sali, co, zdaniem pisma, nie zawsze jest właściwe. Bezpartyjni powinni wiedzieć, co robi partia. „Organizacja partyjna nie jest jakimś wyodrębnionym, oderwanym od świata, zamkniętym kółkiem ludzi... Im mocniejsze, serdeczniejsze są więzy, które łączą organizację partyjną z bezpartyjnymi, tym większe są jej możliwości promieniowania na otoczenie, z tym większym powodzeniem odgrywa ona swą kierowniczą rolę".

Niestety, ubolewa pismo, aktyw partyjny zdaje się tego nie rozumieć. „Zjawisko odgradzania się od bezpartyjnych, wynoszenia się ponad nich, nie znikło jeszcze z życia wielu organizacji. Niektórzy aktywiści wręcz odmawiają bezpartyjnym prawa do samodzielnego sądu. Oceniają bezpartyjnego pozytywnie tylko pod warunkiem, że będzie bezkrytycznie przyjmował każde ich słowo". Kto się poważy krytykować organizację partyjną, jej egzekutywę lub sekretarza, „uważany jest za rozrabiacza, ba nawet za wroga". Nikomu z aktywistów nie przychodzi na myśl, że bezpartyjny może też czasem mieć rację.

Wielu członkom partii brak poczucia odpowiedzialności wobec bezpartyjnych, co prowadzi do wypaczania podstawowych założeń partii. „Znamy takie organizacje, które przynależność do partii traktują nie jako zaszczytny obowiązek, ale jako podstawę do niczym nie usprawiedliwionych przywilejów... Legitymacja partyjna nie daje prawa do żadnych przywilejów" — poucza pismo.

Trudno ocenić, ile w pouczeniach „Trybuny" jest naiwności, a ile hipokryzji. Po cóż by ludzie zapisywali się do partii, gdyby legitymacja partyjna nie dawała przywilejów? „Trybuna" powinna zdawać sobie sprawę, że atrakcją dla ogromnej większości członków partii nie jest marksizm-leninizm, lecz właśnie przywileje, jakie stwarza przynależność do grupy rządzącej. Przynależność ta pozwala członkom partii patrzeć z góry na bezpartyjnych i uważać ich za obywateli drugiej klasy. Tylko komunista ma drogę otwartą do kariery, władzy i zaszczytów, przed bezpartyjnym jest ona zamknięta. Magnesem przyciągającym do partii nie jest materializm dialektyczny, lecz materializm tout court.

Aktywiści wymagający od bezpartyjnego, aby „bezkrytycznie przyjmował każde ich słowo", idą za przykładem z góry. Jak określiłaby „Trybuna" obywatela, który by się ośmielił krytykować decyzje Komitetu Centralnego lub jego Politbiura? Bogate słownictwo inwektyw komunistycznych mogłoby się okazać tu niewystarczające.

Poza tym można wątpić, czy wielu bezpartyjnych, „zaproszonych" na zebranie partii, uważa się za pokrzywdzonych, gdy zostają odesłani do domów. Większość jest pewnie wdzięczna sekretarzom partyjnym za tę decyzję.

PREMIE

System premiowania pracowników w przemyśle i rolnictwie — pisze „Trybuna Ludu" — odegrał w swoim czasie rolę pozytywną, zmuszając pracowników do wysiłku w celu wykonania planu, obecnie jednak prowadzi do anomalii. Premia stanowi tak wysoką część wynagrodzenia, że nieotrzymanie jej „podrywa budżet pracownika". Pismo przytacza przykłady. „Zarobek naczelnego inżyniera huty w przypadku, gdy plan wykonany został w 100%, wynosi około 3.500 zł. Mniej więcej połowa tego zarobku przypada na płacę podstawową, a połowa (1.750 zł) na premię. Za każdy procent produkcji ponadplanowej premia wzrasta średnio o 10%. W przypadku wykonania planu np. w 103% naczelny inżynier otrzymuje dodatkowo 525 zł premii. W sumie premia wynosi wówczas 2.275 zł, czyli znacznie więcej niż połowę zarobku". W przemyśle energetycznym premia za wykonanie planu wynosi 52 procent wynagrodzenia, w przemyśle chemicznym — ok. 40%, włókienniczym — ok. 45% itp. Jeżeli jednak plan nie zostaje wykonany, premia przepada.

Rezultat? Ludzie dążą wszelkimi środkami do wykonania planu, aby otrzymać premię. Praktykuje się w tym celu tzw. „zaniżanie" planu, tj. ukrywanie możliwości produkcyjnych zakładu, pozwalające na wykonanie planu nawet w niekorzystnych warunkach. Dążenie do wykonania bądź przekroczenia planu odbija się na jakości produkowanych wyrobów i ich asortymencie: produkuje się to, co produkować najłatwiej bez względu na potrzeby rynku. Robotnicy uciekają z zakładów mających plany „napięte" tzn. trudne do wykonania, przechodząc do zakładów, których kierownictwo przezornie plany „zaniżyło". Gdy kierownictwo zakładu przyjdzie do przekonania, że w pewnym miesiącu grozi mu nieosiągnięcie 100-procentowej normy, ukrywa część produkcji, aby wykazać ją w następnym miesiącu i otrzymać odpowiednio wyższą premię.

„Trybuna" proponuje w celu usunięcia tych anomalii zmniejszenie udziału premii w ogólnej sumie wynagrodzenia, nie posuwa się jednak do wniosku, że należałoby je znieść całkowicie. Mogłoby się to odbić ujemnie na komunikatach i statystykach GUS-u.

PODWYŻSZENIE DOSTAW

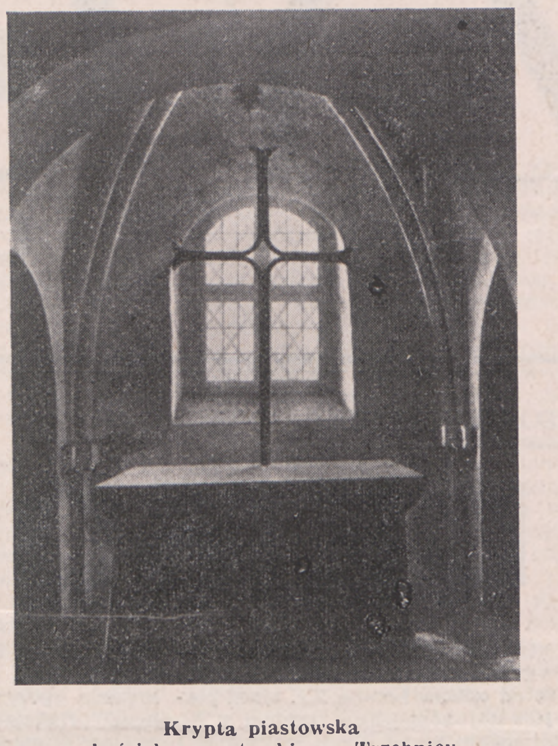
„Chłopska Droga" donosi o rozgoryczeniu chłopów we wsi Łomy, woj. zielonogórskie, wywołanym podwyższeniem im wymiaru obowiązkowych dostaw zboża. Na II zjeździe kompartii postanowiono solennie, że obowiązkowe dostawy zostaną utrzymane na poziomie 1954 r., co miało być dla chłopów pobudką do zwiększenia produkcji. Obietnicę tę kilkakrotnie potem ponawiano. Skąd więc to podwyższenie? Pismo tłumaczy je nową klasyfikacją gruntów, chłopi znajdują inne, słuszniejsze, jak się zdaje, wytłumaczenie: podwyższyli nam obowiązkowe dostawy, bo nie chcieliśmy na wiosnę założyć spółdzielni. „Niektórzy gadają, że to dlatego, żeby szybciej powstała u nas spółdzielnia produkcyjna." Członkowie miejscowej organizacji partyjnej liczącej trzy osoby podzielali podobno ten pogląd.

WZROST POLSKIEGO EKSPORTU

Według oświadczeń dr. Wołyńskiego, dyrektora departamentu traktatów międzynarodowych w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, przywóz towarów z Europy zachodniej do Polski wzrósł w pierwszym półroczu roku 1955 o 20% w porównaniu z tym samym okresem roku poprzedniego, wywóz zaś z Polski na Zachód wzrósł o 19%. Wzrost największy wykazują obroty z Anglią, Finlandią, Szwajcarią i Narodową Republiką Federalną. Polska wywozi coraz więcej wyrobów walcowanych, cementu, chemikaliów oraz maszyn.



Brama wjazdowa do Zamku Piastów w Lignicy



Krypta piastowska w kościele pocysterskim w Trzebnicy

KINA I FILMY

W Polsce jest za mało kin — pisze „Trybuna Ludu". „Bez wyczekiwania w ogonku nie sposób dostać się na dobry film. Jeśli film jest szczególnie atrakcyjny — trzeba niekiedy stracić na dostanie biletów kilka godzin." Około 100 miast i miasteczek w Polsce nie ma kin; w poznańskim jest takich miast 25, w warszawskim — 11, w bydgoskim — 10 itd.

Według normy przyjętej przez Instytut Urbanistyki i Architektury liczba miejsc w kinach miejskich powinna odpowiadać wskaźnikowi 1 miejsce na 40 mieszkańców. Jest to norma znacznie niższa niż w większości krajów europejskich, praktycznie jednak daleko do jej osiągnięcia. W Warszawie stosunek liczby miejsc w kinach do liczby mieszkańców wyraża się cyfrą 83, w Poznaniu — 104, w Zgierzu — 143, w Tomaszowie — 90, w Gliwicach — 84,3 itd. Warszawa miała przed wojną 68 kin z 40 tysiącami miejsc, obecnie ma ich 19 z 10.700 miejsc, przy czym kina są skoncentrowane głównie w śródmieściu.

Nie możemy sobie pozwolić na budowę nowych kin — oświadcza pismo — „gdyż mamy nieporównanie ostrzejsze potrzeby w zakresie budownictwa". Jako drogę wyjścia pismo proponuje urządzanie kin w świetlicach związków zawodowych.

Równie niezadowalająco wygląda sprawa filmów krajowych. „Nigdzie w Europie — pisze „Przegląd Kulturalny" — nie robi się filmów tak długo jak u nas... Filmy wychodzą zawsze spóźnione, zawsze jakieś nieświeże... Cechą poza tym narodową naszej produkcji jest niespotykane niechlujstwo obróbki i wykonania. Nie widziałem nienagannej kopii filmu polskiego, tak jak nie widziałem dobrej polskiej kopii filmu zagranicznego... Film, który trafia do kina, posiadając już te wszystkie braki, a więc złą kopię i niezrozumiały bełkot w miejsce dialogu, zostaje dodatkowo zdegradowany przez warunki, w jakich się go wyświetla... Kino w Polsce to coś pośredniego między hangarem a chlewem, brudne, obskurne, pozbawione tej odrobiny komfortu, jaka jest niezbędna, by odbierać wrażenia artystyczne..."

PIJE KUBA DO JAKUBA...

Plaga alkoholizmu w Polsce rośnie i prasa krajowa poświęca jej od niejakiego czasu sporo uwagi. We wrześniu ub. roku odbyła się w Warszawie konferencja przeciwalkoholowa, w listopadzie narada u Cyrankiewicza, na której omawiano sposoby walki z pijaństwem, lecz obie te narady nie wyszły poza obręb ogólników i pobożnych życzeń. Pijaństwo odbija się niewątpliwie na stanie zdrowotnym ludności, sprzyja wzrostowi bandytyzmu, awantur ulicznych i rozwiązłości obyczajów, jest często powodem nieszczęśliwych wypadków, lecz z drugiej strony przyczynia się znakomicie do zwiększenia obrotów handlu spożywczego, umożliwiając wykonanie i przekraczanie planów. W upaństwowionych sklepach spożywczych, barach i restauracjach brak nieraz wielu produktów, nie brak nigdy wódek. W roku 1951 77% zakładów „żywienia zbiorowego" w Polsce sprzedawało alkohol, w roku 1955 cyfra ta wzrosła do 91%. Wina i wódki gatunkowe sprzedają nawet sklepy ze słodyczami, a niezadługo, jak pisze ironicznie „Życie Warszawy", napoje alkoholowe będą zapewne do nabycia w sklepach z meblami, zakładach fryzjerskich i żłobkach dla dzieci. W ciągu trzech kwartałów roku 1955 sprzedano w Polsce 1800 dwudziesto-tonowych cystern alkoholu, tzn. 36 milionów litrów, blisko o milion więcej niż w tym samym czasie w roku 1954. Łódź, licząca 700.000 mieszkańców, wypiła w pierwszym kwartale roku 1955 alkoholu za 62 miliony zł., co stanowiło 34,5% ogólnych obrotów barów i restauracyj, a 21,6% obrotów w sklepach spożywczych. Sklepy wiejskie wypełniają plan obrotu artykułami pierwszej potrzeby w 80%, plan sprzedaży alkoholu w 190%.

ZATRWAŻAJĄCA STATYSTYKA

Statystyki urzędowe wskazują, że spożycie wódek w przeliczeniu na czysty spirytus wynosiło w r. 1938 1,3 litra rocznie na osobę, w roku 1946 wzrosło do 1,5 litra, wzrastało stale w latach następnych, a w roku 1954 osiągnęło 2,3 litra. Pod względem spożycia alkoholu na głowę ludności Polska zajmuje jedno z pierwszych miejsc na świecie. Co gorsza nałogowi pijaństwa ulega znaczny odsetek młodzieży. Badania dokonane wśród 13.600 uczniów szkół podstawowych i zawodowych wykazały, że 54,5% używa alkoholu; 88% młodzieży starszej pije wódkę, z tego 27,5% co tydzień, 12% — codziennie. Stwierdzano wypadki pijaństwa wśród dzieci przed 10 rokiem życia.

Według oświadczeń uczestników konferencji przeciwalkoholowej, 80% przestępstw w Polsce wiąże się z nadużywaniem alkoholu. W roku 1951 zatrzymano za awantury pijackie 143.700 osób, w roku 1954 — 225.760. Pijani kierowcy i woźnice powodują w kraju 15 wypadków śmiertelnych tygodniowo, w samej Warszawie zatrzymano w pierwszym półroczu 1955 roku 624 kierowców w stanie nietrzeźwym. W każdą sobotę, niedzielę i święto, w dnie wypłat lub popularnych imienin kliniki i pogotowia ratunkowe notują pokaźną liczbę bijatyk kończących się nieraz wypadkami śmiertelnymi. Lekarz jednej z klinik chirurgicznych w Krakowie pisze do „Trybuny Ludu", że w jednym tylko dniu — był to dzień wypłaty — ambulatorium kliniki udzieliło pomocy jednemu ciężko rannemu i kilkunastu lżej rannym; trzem innym pomocy udzielić nie mogło, gdyż przed przybyciem pogotowia zmarli. Ofiarami bójek pijackich padają nie tylko pijacy, lecz i ludzie trzeźwi przypadkowo wmieszani w awanturę. Liczba zatrzymań za pijackie wybryki wzrosła w ciągu lat 1951-1955 o przeszło 60%.

Na Górnym Śląsku ludzie przepijają 11% funduszu płac. Na konferencji przeciwalkoholowej stwierdzono, że państwo traci z powodu pijaństwa 450 milionów dniówek rocznie. Na budowach w dniu wypłaty i następnym nie przychodzi do pracy około 50% robotników, w jednej z kopalń śląskich utracono skutkiem pijaństwa górników 3.000 dni roboczych w ciągu dwóch tylko miesięcy, 70% pożarów w hutach stalinogradzkich jest dziełem pijaków. Tzw. „szewski poniedziałek", polegający na odsypianiu zamroczenia alkoholowego, stał się w Polsce, jak pisze „Trybuna Ludu", instytucją narodową.

RESTRYKCJE ADMINISTRACYJNE

Cyfry te, zaczerpnięte z prasy krajowej, są przerażające. Plaga alkoholizmu zaalarmowała czynniki partyjne, patrzące dotąd życzliwym okiem na rosnące spożycie wódki: szkody społeczne i gospodarcze wywołane epidemią pijaństwa zaczęły przewyższać korzyści fiskalne osiągane z rozprzedaży alkoholu. Zaczęto się zastanawiać nad środkami zaradczymi. W Polsce obowiązuje dotychczas formalnie przedwojenna ustawa przeciwalkoholowa, zakazująca sprzedaży alkoholu na terenie fabryk, w pomieszczeniach straży pożarnych, w salach sportowych i gimnastycznych, domach ludowych i lokalach urzędowych, a także w soboty i inne dni wypłat. Zabrania też ona podawania i sprzedaży alkoholu małoletnim, uczniom szkół podstawowych i średnich oraz osobom nietrzeźwym. Ustawę tę uzupełniają powojenne przepisy i uchwały ograniczające handel wódkami, ale ani ustawy, ani uzupełnień nikt nie przestrzega. Wódkę w sklepach kupuje się poza kolejką, małoletni nabywają ją bez ograniczeń, w restauracji trzeba zamówić „ćwiartkę", aby pozyskać życzliwość kelnera. Należy więc przede wszystkim, oświadcza „Trybuna Ludu", wprowadzić kontrolę wykonania przepisów i stosować sankcję za ich naruszenie. Komu się zdarzało przed wojną pić wódkę we filiżankach, ten niełatwo uwierzy w skuteczność tego zalecenia.

Dość licznych zwolenników ma wyłączenie sprzedaży wódek z ogólnego systemu premiowania sprzedawców za wykonanie lub przekroczenie planu obrotów handlowych, lecz projekt ten nie wywołuje entuzjazmu sprzedawców ani czynników rządowych. „Łatwiej wykonać i przekroczyć plan obrotu — pisze „Trybuna" — sprzedając wódkę niż jakikolwiek artykuł spożywczy." Łatwość ta sprawia, że aparat centralny zarządzający handlem naciska na sklepy o zwiększenie sprzedaży wódek, zwłaszcza w okresach, gdy sklepy te niewiele więcej mają do zaofiarowania kupującym. Stąd pochodzą odmowne załatwienia próśb ludności o zamknięcie najbardziej dokuczliwych spelunk pijackich oraz kary umowne nakładane na hurt i detal za nieodebranie planowanej ilości alkoholu. Narada u Cyrankiewicza skończyła się stwierdzeniem, że „skorygowanie dotychczasowej polityki premiowania przeciwdziałać będzie sztucznemu pobudzaniu konsumpcji wódki przez niektórych sprzedawców i kelnerów". Nie wiadomo, na czym ma polegać to „skorygowanie".

Nie ma też mowy o zmniejszeniu produkcji alkoholu, ani tym więcej, o wprowadzeniu prohibicji. Środki takie stworzyłyby tylko, zdaniem „Trybuny", „bazę ekonomiczną dla produkcji „bimbru", tzn. chałupniczej fabrykacji wódek. Ograniczenie produkcji może być, twierdzi pismo, tylko wynikiem spadku spożycia, w przeciwnym razie nie osiągnie celu. Prohibicja w Stanach Zjednoczonych i Szwecji nie zdała egzaminu. Jest to w dużej mierze słuszne, można wszakże wątpić, czy ujęcie w pewne ramy zalewającej obecnie Kraj powodzi alkoholu wywołałoby prywatną spekulację.

Mówi się wreszcie o zmniejszeniu punktów sprzedaży wódek i skasowaniu ich sprzedaży w sklepach spożywczych. „Życie Warszawy" informuje, że Prezydium stołecznej Rady Narodowej opracowuje zarządzenie o wycofaniu alkoholu z tych sklepów i uruchomieniu kilku sklepów branżowych sprzedających wyłącznie alkohol. Sklepy te będą w dni wypłat zamknięte. W niektórych innych miastach Polski wprowadzono ograniczenia sprzedaży wódek. Wszystko to razem nie stanowi wielkiego utrudnienia dla pijaków. Żadne z pism warszawskich nie proponuje podniesienia ceny wódki, która w Polsce jest względnie tania.*)

SZAROŚĆ I NUDA

Prasa nie sądzi jednak, że same tylko zarządzenia administracyjne mogą się skutecznie przyczynić do ograniczenia pijaństwa; potrzebna jest także „długofalowa akcja wychowawcza". „Wielokrotnie więcej — pisze „Życie Warszawy" — wydało się w Warszawie pieniędzy na budowę knajp (niekiedy luksusowych), aniżeli kin... Mieszkaniec hotelu robotniczego ma w wolne wieczory wybór między kilometrową kolejką do kina a wódką, którą reklamuje się na wszystkich możliwych wystawach i w którą bogato zaopatruje się nawet nocne sklepy." Młodzież w hotelach robotniczych, według „Trybuny Ludu", jest pozbawiona rozrywek kulturalnych i nie ma co robić z pieniędzmi, które jej pozostają po opłaceniu niskich kosztów utrzymania w hotelu; wydaje te pieniądze na wódkę. Piją chłopcy i dziewczęta — uznaje się to za konsekwencję równouprawnienia kobiet.

Prasa odwołuje się więc do „aktywu społecznego" — do rad zakładowych, Ligi Kobiet, ZMP i — oczywiście — do organizacyj partyjnych. Zaleca budowę nowych kin, uruchomianie świetlic, sprowadzanie do nich książek i pism, umasowienie sportu, wycieczki turystyczne oraz gry i zabawy „kształcące odwagę, męstwo, wzbogacające wiedzę o życiu". A przede wszystkim nawołuje społeczeństwo do pozbycia się dotychczasowej pobłażliwości, a nawet życzliwości dla pijaków.

Trudno zaprzeczyć, że jedną z przyczyn rozpowszechniania się pijaństwa w Polsce są właściwości gospodarki komunistycznej, narzucającej życiu gospodarczemu swe papierowe plany bez względu na możliwość ich wykonania. Co ma robić sprzedawca w „uspołecznionym" sklepie, gdy niewypełnienie planu nie tylko pozbawia go premii uzupełniającej jego nędzną płacę, lecz grozi przykrymi konsekwencjami ze strony przełożonych? Wpycha kupującemu wódkę, której ma pod dostatkiem. Nie ulega też wątpliwości, że inną przyczyną jest szarość i nuda codziennego życia. Lecz przyczyna istotna tkwi głębiej — w burzeniu tradycyjnych wartości moralnych, w rozkładzie pożycia rodzinnego, w braku nakazów wewnętrznych, trzymających na wodzy namiętności. Ojciec i matka pracują, dzieci dojrzewają na ulicy, dom rodzinny świeci pustką. Młode pokolenie wyrasta w atmosferze rozluźnienia obyczajów, będącej zwykle wstępem do poddania się nałogowi.

Alkohol jest ucieczką od rzeczywistości. Im więcej ta rzeczywistość kryje w w sobie braków, niedostatku, pustki, dramatów rodzinnych lub osobistych, tym częściej każe zaglądać do kieliszka. Nazywa się to w języku potocznym „zalewaniem robaka". W tym tkwi zapewne powód tolerancji okazywanej przez społeczeństwo pijakom, nie tylko w Polsce: zza pijanego bełkotu wyziera zazwyczaj ludzka niedola.

L. K.

*) W końcu stycznia Prezydium rządu zatwierdziło zarządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego o nowych zasadach sprzedaży alkoholu. Zarządzenie zakazuje sprzedaży napojów alkoholowych młodzieży do lat 18 i osobom nietrzeźwym oraz zabrania sprzedawać te napoje na terenie szkół i placówek oświatowo-wychowawczych. W zakładach pracy, hotelach robotniczych, bufetach przyzakładowych itp. nie wolno sprzedawać napojów zawierających więcej niż 4,5% alkoholu. W wagonach restauracyjnych, bufetach kolejowych, portowych i lotniskowych mogą być sprzedawane jedynie napoje zawierające nie więcej niż 18% alkoholu. Liczba sklepów z wódkami zostanie zmniejszona. W jadłodajniach, cukierniach i kawiarniach nie będzie sprzedaży wódek, w restauracjach zniesiona zostaje sprzedaż „na wynos". Pracownicy sklepów z wódkami będą otrzymywali premie niezależnie od wykonania planu sprzedaży.

Czas pokaże, jaka będzie skuteczność tych zarządzeń.

WIESŁAW RĘCZLERSKI

WYSPA BARW I ŚWIATEŁ

Morze i powietrze pełne blasków. Z horyzontu zwolna poczyna się wysuwać kształt jakiś zarysowując się coraz wyraźniej. Z prawdziwym wzruszeniem spoglądamy z mostu kapitańskiego na ten rąbek ziemi dookoła, otoczony oceanem i znajdujący się w zasięgu wzroku. Mijamy przyległą, o pięknym kolorycie, skalistą wyspę, należącą do grupy wysp maderskich i statek dopływa zwolna do Madery. wkrótce znajduje się na linii równej z wyspą, okrąża ją i wówczas ukazuje się nam nieporównany widok Funchalu. Wygląda tak jak gdyby był wyrzeźbiony na tle swego pięknego położenia i przebogatej, bujnej roślinności. Cała wyspa tworzy jeden wielki bukiet.



Widok z Pinheira — Funchal

Wzniesienia wysokie i strome pną się i biegną w kierunku góry, pokrywającej niemal całą przestrzeń, zaś w samym środku góry wznosi się jej najwyższy szczyt Pico Ruivo. U podnóża na rozłożystej płaszczyźnie rozciąga się miasto i port.

BOGACTWA RÓŻNYCH STREF KLIMATU

Już sama przystań wskazuje, że to wyspa kwiatów i owoców. Widać całe stosy takich owoców, jakie trudno byłoby napotkać gdzie indziej. I wspaniałe winogrona, i banany, i piękne avocado gruszki, i melony, i arbuzy. Obok najprzeróżniejszych plonów afrykańskich ukazują się owoce jakby sprowadzone z dalekiej północy. Wszak urocza wyspa posiada największe, nieprzemijające i nienaruszalne bogactwo — kilka różnych stref klimatu. Każdy jej kraniec położony w odmiennych, zróżniczkowanych warunkach atmosferycznych jest zjawiskiem gdzie indziej niespotykanym. W każdym miesiącu, przez cały rok, ta ziemia pochodzenia wulkanicznego pobudza do plonu coraz to inny gatunek i rodzaj flory. Podczas gdy w styczniu kwitną begonie i kamelie a w lutym azalie i mimozy, to w czerwcu ukazują się wielkie kielichy lilii, unoszą się zapachy magnolii i już z dala przyciągają wzrok osypane kwiatami, koralowe drzewa. Wszędzie pojawia się tutaj niezrównane bogactwo barw. Z każdego niemal miejsca ukazuje się jakiś inny, odrębny, subtelnie zarysowany koloryt wśród powodzi światłocieni.

Nadchodzi piękny wieczór. Wjeżdżamy do miasta już przy ostatnich odblaskach słońca.

Już z dala dochodzi gwar i przenika wesołość rozpływająca się wokół miasta. Przez rozległe aleje przesuwają się pojazdy, tonące w powodzi kwiatów i zapełnione tubylcami, którzy z właściwym południowcom temperamentem manifestują swoją beztroskę. Maderczycy lubią obchodzić liczne „festas". Każda parafia kilka razy w roku celebruje uroczyście święta religijne i chętnie świętuje na intencję swego patrona. Wówczas wieśniacy zamieszkali w odległych wioskach, pośród skalistych gór i rzadko kiedy przybywający do Funchalu, w barwnych strojach ludowych, licznie napływają do przesyconego śpiewem i ozdobionego flagami i kwiatami miasta. Gdy zmierzch zapada, ukazują się ogniska a na niebie kolorowe rakiety i wtedy Funchal przedstawia jedyny, nieporównany widok. Miasto zdobią wszędzie niezliczone, kolorowe lampy, a światła spływają na brzeg oceanu i ukazują pokryte barwnymi plamami, spienione fale, tworząc urzekające tło dla tej wyspy już przez samą naturę tak bogato wyposażonej.

ODKRYCIE WYSPY

Posłuchajmy, jakie to wydarzenie zawiodło pierwszych Europejczyków na tę ziemię. Hiszpan Joan Morales, któremu udało się zbiec z okrutnej niewoli Maurów, po uciążliwej, nie pozbawionej przygód wędrówce po drodze wiodącej do Hiszpanii, uchwycony został przez załogę statku awanturniczego żeglarza, portugalczyka Goncalves Zarco. Staje się jego jeńcem i zawieziony zostaje do Lizbony. Ale Joan Morales miał coś w zanadrzu dla chciwej wszelkich odkryć Portugalii. Znał z opowieści Arabów jakąś historię o istnieniu porosłej bujną roślinnością nieznanej wyspy na oceanie i opowiada o niej prawdopodobnie w nadziei, że mu to pomoże w odzyskaniu wolności. Niebawem opowiedziana historia dociera do samego króla Portugalii, Henryka, nazwanego przez potomnych Nawigatorem. Henryk zaś — jak wiadomo — należał do tej kategorii panujących, o których można powiedzieć, że tworzą historię. Kronikarz portugalski Azurara wspomina o nim, że „pracował, podczas gdy inni spali, stał wtedy, gdy inni biegali". Jego duch inspiratorski i umysł natchniony genialną wyobraźnią skierował go na drogę odkryć i pozwolił mu stać się zwiastunem przebudzenia średniowiecznej Europy ze stanu swoistego marazmu.

Ten król-żeglarz wprowadził sztukę i naukę na drogę postępu w czasie i skali niezrozumiałej dla współczesnych. Po swoim zwycięstwie pod Ceuta i zdobyciu Maroka, opanowany żądzą nowych odkryć na kontynencie afrykańskim, w swoich planach eksploracyjnych dla celów naukowych, sam rozwija ówczesną wiedzę o geografii i staje się wielkim promotorem w rozwoju sztuki budowy okrętów.

W roku 1419 Henryk Nawigator polecа żeglarzowi Goncalvesowi Zarco wyruszyć do Porto Santo, wyspy oddalonej niespełna 40 kilometrów od Madery, po dziś dzień słabo tylko w jednym miejscu zaludnionej, a odkrytej w poprzednim roku przez tegoż żeglarza. Osiedleńcom na skalistej wyspie nie dają spokoju jakieś uporczywe odgłosy przenikające jakby z wielkiej chmury zawisłej nad horyzontem. Zarco udaje się w tym kierunku i po krótkim żeglowaniu zdumionym jego oczom ukazuje się nieznana wielka wyspa. Przedsiębiorczy żeglarz ląduje w dzisiejszym Ponta de Sao Lourenco i w imieniu króla Portugalii obejmuje Maderę w posiadanie. Jeszcze w tym samym roku Zarco ponownie przybywa na wyspę i przywiezionym kolonistom każe w południowej części Madery rozniecić ognie i spalić las przybrzeżny. Ten wielki pożar pochłonął gęstwę drzew samorodnie wyrosłych w ciągu lat siedmiu w miejscu, gdzie obecnie jest Funchal. Tutaj już bezpowrotnie zanikła kapryśność i przypadkowość przyrody, w zamian zaś powikłań natury pojawiło się upiększenie ziemi w linii prostej, kwiatami i krzewami, którym ręka człowieka pieczołowicie dopomaga w wegetacji.

Na tej wyspie, zalanej kaskadami światła, przyroda niegdyś szczodrze zapłodniła myśl człowieka. Myśl ta przeobrażona w czyn dokonała nie tylko przewrotu w pojęciach i wyobraźni współczesnych, lecz w skutkach okazała się brzemienną na miarę nieznaną w historii świata. Tutaj powstała wizja przed oczyma, niepozornego powierzchownością człowieka, wizja kontynentu na drugiej półkuli świata. To tu właśnie zrodziła się myśl odkrycia kraju, do którego sprowadzona z Europy wielonarodowa ludność w cztery wieki później, stopiona w jeden naród, stworzy najpotężniejsze mocarstwo w dziejach ludzkości. Wśród poszumu drzew i fal oceanu lub w ciszy domowego ogniska, przy boku młodej małżonki, córki gubernatora Porto Santo Perestrello, zapadał często w zadumę Krzysztof Kolumb. Na tej wyspie barw i świateł los wykuwał nową kartę dla naszej cywilizacji.

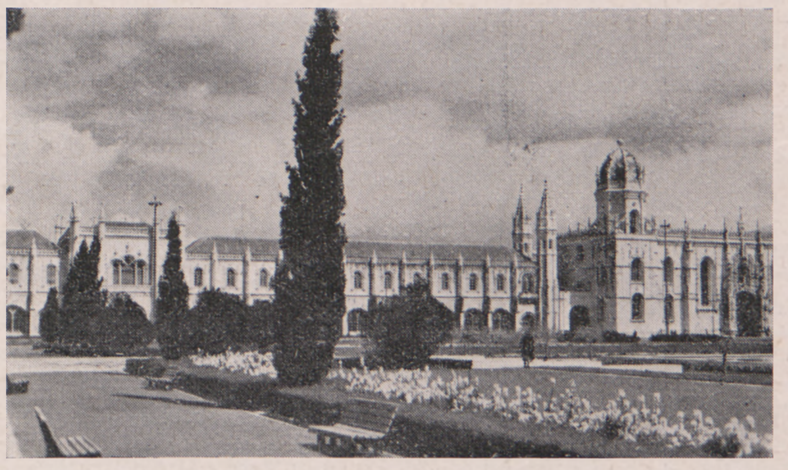
PODZIWIAMY STYL MANUELIŃSKI W MIEŚCIE

Już wczesnym rankiem wybiegamy do miasta. Przybysza z Anglii od razu musi uderzyć odrębność czynników kształtujących kulturę i odrębność właściwości psychicznych mieszkańców. To piękne miasto zalane słońcem, w srebrno-białych budynkach, tonące w parkach i skwerach pokrytych roślinnością właściwą dwum kontynentom, z ulicami i alejami o różnobarwnych, [illegible] kwiatkach, na których w tym miesiącu daje znać o swoim wdzięku i bujnym życiu fuksje i hibiskusy, pomimo swego położenia afrykańskiego, jest wytworem cywilizacji romańskiej. Niezależnie od innych naleciałości i czynników, ścierających się i wywierających swój wpływ, przyniesione pierwiastki kultury łacińskiej powszechnie dominują. Mieszkańcy wyspy, z przeważającym typem osiedleńca w południowej części półwyspu Iberyjskiego, zachowują pogodę, która nie ma tutaj sztucznego wyrazu. Jakiś istotny, prawdziwy spokój i niezamącona pewność jutra biją i przenikają od tej ziemi i od ludności jej, mogącej się radować normalnymi warunkami życia. Jakże szczęśliwy naród, który uniknął pierwszej i drugiej wojny światowej i wyrafinowanego barbarzyństwa dławiącego większą część naszego kontynentu!

Udajemy się na plac katedralny. Wznosi się tutaj kościół w stylu manuelińskim, wybudowany w wieku XVI. Jest to rodzaj ozdobionego włoskim stylem gotyku, którego piękna i niezmiernie wyszukana forma znalazła swój wyraz w takim arcydziele sztuki, jakim jest kościół św. Hieronima w Lizbonie. Styl ten rozpowszechniono w Portugalii za czasów panowania króla Manuela, od niego więc pochodzi nazwa. Połączenie dwóch stylów tak odmiennych w założeniach architektonicznych, odrębnych w formie i wyrazie, było przedsięwzięciem niewątpliwie trudnym i ryzykownym, znalazło jednak rozwiązanie harmonijne, piękne i podziwu godne. Barok w połączeniu z gotykiem jest tutaj w Afryce wymownym świadectwem daleko sięgających wpływów szeroko pojętego słowa Zachodu. Droga tych wpływów zawsze wywodziła się lub prowadziła przez Rzym i sięgnęła głęboko. W południowej części półwyspu Iberyjskiego zeszły się, zakute zostały w kamieniu i stopiły się w jedną całość dwie wielkie legendy Zachodu i przez Maderę przeniknęły daleko na Wyspy Kanaryjskie. W skarbcu katedry maderskiej znajduje się piękny krzyż z szesnastego stulecia rzeźbiony w srebrze przez wielkiego artystę. Ozdobą placu jest pomnik dłuta rzeźbiarza Francisco Franco, wystawiony dla uczczenia pamięci odkrywcy Madery.

Nieco dalej na rua de Mouraria mieści się Muzeum Miejskie zawierające ciekawą kolekcję ryb i ptaków. Oczy przyciągają piękne w kształcie i barwie niebieskie ryby i rzadkie odmiany wielkich tuńczyków. Oglądamy ryby - olbrzymy, ryby-potwory ważące chyba po tysiąc kilo o odrażającym wyglądzie, o monstrualnych głowach i wyłupiastych oczach. To barakuty. Szczególną uwagę przyciąga wystawa starej Madery obejmująca w przekroju historycznym wiele eksponatów, rzucająca światło na charakterystyczne zwyczaje bądź to zanikłe bądź utrzymujące się jeszcze do dzisiaj.

Ozdobą wystaw licznych sklepów i magazynów są słynne na całym świecie hafty maderskie. Już od dzieciństwa młodzież miejscowa uczy się rękodzieła przynoszącego pokaźny dochód ludności; występuje przy tym charakterystyczne zjawisko, że płeć



Lizbona — Mosteiro dos Jerónimos

męska oddaje się również z zapałem tej pracy i mężczyźni haftują nie mniej zręcznie niż kobiety.

NAJCENNIEJSZYM WYTWOREM WYSPY JEST WINO

Najcenniejszym wytworem wyspy, stanowiącym źródło dobrobytu jej ludności, jest wino. Na glebie pokrywającej Maderę winogrona kultywowane są już od początku XV stulecia, a o winie maderskim krąży wiele legend. Tradycja opiewa, że winogrona po raz pierwszy sprowadzone zostały przez Henryka Nawigatora ze słynnych winnic Malavesi na Krecie. W północnej części wyspy bardziej rozpowszechniony jest gatunek ciemnych winogron a drzewka zazwyczaj owocują tutaj w trzecim roku, najlepszym jednak terenem dla wegetacji jest południowa część Madery i Porto Santo, gdzie winogrona wystawione bardziej na działanie słońca zawierają wyższy procent naturalnego alkoholu i tam pojawiają się gatunki owoców białych. Zbiór również odbywa się w zależności od położenia. Podczas gdy w Porto Santo winobranie rozpoczyna się już w połowie sierpnia, na Maderze nigdy wcześniej nie odbywa się jak we wrześniu.

Wchodzimy do wielkiej hurtowni eksportującej już od kilku stuleci wino do niemal wszystkich krajów cywilizowanego świata. I tutaj patyna czasu wyryła swoje piętno, ale trudno byłoby odnaleźć jakieś podobieństwo tej hurtowni do warszawskiego Fukiera. Sam budynek, aczkolwiek stary, przypominający nieco w konstrukcji styl arabski, nie zawiera poza tym w sobie nic godnego uwagi. Nie widać tu piękna ni wdzięku ani dostojnego majestatu lat odległych. Rozległą izbę pokrywają olbrzymiej pojemności beczki z cennym płynem, wszystkie znajdują się w pomieszczeniu wznoszącym się ponad powierzchnią ziemi i w temperaturze całkiem wysokiej. Gatunek wina maderskiego ma szczególne właściwości i pod wpływem wysokiej ciepłoty wywołanej odpowiednimi, naturalnymi warunkami, podnosi się jego wartość. Niegdyś przypadkiem zwrócono uwagę, że transport przez równik wpływa na „Maderę" dodatnio i w ubiegłym stuleciu Anglicy posyłali ją do Indii, skąd następnie przewożono wino na Wyspy Brytyjskie jako „East Madeira". Później przekonano się jednak, że ten sam skutek można osiągnąć na miejscu bez tak kosztownego przewozu, a po prostu przez postawienie wina na pewien czas w odpowiednim pomieszczeniu i cieple. Są tutaj gatunki słodkie „verdelho" i „boal", i wytrawne „sercial" oraz barwy bursztynowej o aromatycznym smaku i koloru czerwonego zwany „tinto", którego bez domieszki rzadko się używa. Zniewalająca uprzejmość kupców portugalskich nie zna granic, częstują każdym gatunkiem trunku, który pojawia się na rynkach światowych w żałosnej postaci namiastki.

DWA RÓŻNE ŚWIATY

Wzdłuż brzegu morskiego rozciąga się wspaniała promenada, gdzie bogata, bujna przyroda w połączeniu z pracą ludzką stworzyły jeden z najbardziej uroczych zakątków świata. W otoczeniu egzotycznej roślinności, w cieniu wielkich rozłożystych palm, zwrócony w kierunku oceanu, wznosi się okazały pałac Gubernatora Cywilnego. Przekształcony z prawdziwą pomysłowością i wdziękiem ze starej fortecy Sao Lourenco z szesnastego stulecia, połyskuje on bielą elewacji i błyszczy olśniewająco w powodzi promieni słonecznych. Wzdłuż szerokiej alei ciągną się wille, pałace i hotele. Zharmonizowanej z kolorem morza mozaiki barw nie stworzyła tutaj natura, lecz poczucie estetyczne człowieka. Ta część wyspy zawsze okupowana była przez możnych tego świata. Naród najmocniejszej waluty na świecie zawsze miał na Maderze przywileje, a choć niegdyś wśród wielonarodowej rzeszy ludzi bogatych posiadali tu prymat Anglicy, zostali dziś wyparci przez Amerykanów przybywających na wyspę nie z wdzięczności dla Kolumba, ale w poczuciu praw dolara.

Tylko skaliste, wąskie drogi górskie oddzielają dwa światy o tak wielkich przeciwieństwach. Z jednej strony świat przepychu materialnego i snobizmu ze wszystkimi jego aspektami, świat wybrańców cywilizacji przemysłowej, pochodzących z kraju odkrytego przez Kolumba. A obok niego drugi, w którym żyje naród pracowity i zapobiegliwy, głęboko przywiązany do swojej religii, tradycji, obyczaju i tej ziemi kwitnącej pośród wód oceanu.

Życie mieszkańca Madery biegnie bez wstrząsów i przeobrażeń, zawsze tym samym trybem. Niewiele dziś ono odbiega od form istniejących wówczas, kiedy to Kolumb opuszczał wyspę przed swoim wiekopomnym odkryciem. Z oddalającego się statku jeszcze raz spoglądamy na Funchal i na wyspę, które razem tworzą zjawiskową panoramę. W granicy wzroku wyspa staje się coraz mniejsza, wreszcie przybiera kształt punktu, aby za chwilę zniknąć. Nic już nie widać prócz szafirowego nieba i nieskończonej roztoczy morskiej.

Wiesław Ręczlerski

TADEUSZ ZIARSKI

ROMANS SASKI

DWÓR W MALESZOWIE

W literaturze naszej epoka nieszczęsnego panowania Sasów wywarła niewielkie piętno i raczej skromne grono pisarzy czerpało tematy z życia tego okresu osiemnastego wieku. Wiek poprzedni, głównie dzięki Sienkiewiczowi, jest bodajże najlepiej znany — a często „na wyrywki" — dla wielu tysięcy miłośników „Trylogii". Ostatnie dziesiątki lat, przed i porozbiorowych są także co najmniej dobrze znane, dzięki głównym aktorom dramatu historii — królowi Stasiowi, Kościuszce czy Napoleonowi. Czasy „za króla Sasa" z wielu przyczyn, być może jednak głównie z braku „połysku" w okresie upadku, są prawie że białą plamą na mapie powieści i romansu historycznego.

Rozpoczynając z Nowym Rokiem 1759 pisanie pamiętnika, młodziutka hrabianka Franciszka Krasińska z pewnością nie śniła o opublikowaniu swych panieńskich westchnień i zwierzeń, szczególnie w formie historycznego czy obyczajowego romansu. Jak sama podaje, pisanie pamiętnika było wówczas w modzie wśród młodzieży arystokratycznej, u panienek zaś dowodziło edukacji, w wypadku zaś Franciszki — świadczyło o opanowaniu własnego, polskiego języka, co nie było rzeczą zbyt powszednią w sfrancuziałych sferach dworskich w Polsce.

Po upływie wielu lat od śmierci autorki, pamiętnik ukazał się drukiem, doczekał się nawet przekładu na język angielski w 1897 roku, dokonanego w ciekawy i staranny sposób przez Kazimierę Dziekońską. Niewątpliwą przyczyną przekładu były ówczesne zainteresowania włoską rodziną panującą, zaś autorka pamiętnika, Franciszka Krasińska, była prababką króla Wiktora Emanuela (zmarłego podczas ostatniej wojny — ojca zdetronizowanego i żyjącego obecnie w Portugalii króla Umberta).

Liczyła szesnaście lat, rozpoczynając swój pamiętnik. Sporo miejsca, szczególnie początkowo, zajmują opisy rodzinnego zamku, stosunki na dworze, uwagi bardziej ogólne na temat życia w Polsce, zwyczaje i historia rodziny. Dowiadujemy się, że rodzina Franciszki miała przydomek Korwin, wywodzący się rzekomo od rzymskiego rodu Corvinus. W XI wieku Corvinus miał przybyć z Węgier do Polski i został hetmanem wojska Bolesława Smiałego Nadany mu został herb — kruk z pierścieniem, który później połączony został z herbem żony wnuka Corvinusa, z domu Pobóg, wyobrażającym ramię z mieczem — w tym połączeniu stał się herbem rodziny. Wnuk Corvinusa przyjął nazwisko od nadanego mu majątku — Krasin — stąd ród Krasińskich.

Rodowym majątkiem rodziny Franciszki był Maleszów. Pradziad Aleksander bronił skutecznie zamku w Maleszowie przed Tatarami. Wódz tatarski, odstępując od nieudałego oblężenia, przesłał w dowód uznania mężnemu Aleksandrowi Krasińskiemu niezwykły i rzadki dar w owych czasach — zegar — zachowany do czasów Franciszki, bardzo prymitywny, ale zegar.

Ojcem Franciszki był Stanisław, starosta Nowej Wsi, matką córka wojewody podolskiego, Aniela Humiecka. Franciszka miała trzy siostry: starszą Barbarę i młodsze Katarzynę i Marię. Wśród wpływowych krewnych były dwie wojewodziny: Małachowska z Końskiego i wojewodzina lubelska Lubomirska, która razem ze swym mężem zaważyła dobitnie na późniejszych losach autorki pamiętnika.

Wśród posiadłości Krasińskich, poza zamkiem w Maleszowie (od z górą stu lat w ruinie), były Piotrowice z kaplicą zbudowaną, po powrocie ojca z Włoch, na wzór słynnej kaplicy w Loreto, oraz Lisów z kościółkiem rodzinnym. Franciszka, opisując stary, pełen niewygód zamek rodzinny przyznaje, że właściwie poza podróżami do rodzinnych miejscowości, nigdzie nie podróżowała, a i to przysługiwało tylko najstarszej córce w rodzinie. Zamek jednak lubiła. Był on otoczony fosą, z mostem zwodzonym i basztami. Z przyjemnością pisze o niedawnych czasach, kiedy to zjeżdżała po poręczy kręconych schodów zamku. Oczywiście działo się to przed włożeniem krynoliny...

Krasińscy, jak można wnioskować z pamiętnika, nie byli magnatami. Utrzymywali jednak stosunkowo liczny dwór. Stale było w nim bowiem około 20 dworzan i 6 dam dworu, poza liczną grupą honorowych członków dworu, otrzymujących za swe ługi tylko dwa konie i po 2 floryny rocznie dla służby Wśród stałych urzędników dworskich był kapelan, lekarz, sekretarz i marszałek dworu.

Jak na każdym dworze, prymitywną funkcję rozrywania i rozśmieszania państwa spełniały karły i błazen. Krasińscy mieli dwóch karłów, jeden był przebrany za Turka, drugi, mniejszy, za kozaka. Był on tak miniaturowy, że według relacji Franciszki, często przechadzał się, na życzenie hrabiny, po stole w czasie biesiad, spacerował między gąsiorkami i butelkami, jak wśród drzew w ogrodzie.

Błazen, Mateusz, bardzo był lubiany przez Franciszkę. Nazywa go ona zdrobniale — Mateńko w swoim pamiętniku. Niczym wielki Stańczyk na dworze Jagiellonów, Mateńko umiał zadziwiająco trafnie przepowiadać niektóre wydarzenia, a szczególnie tyczące przyszłości autorki pamiętnika. Stale przy boku i stole państwa, w odróżnieniu od innych, pozwalał sobie czasami na drobne poufałości w roli błazna dworskiego. Uchodziło mu to i przynosiło korzyści, jeśli nie większe, to choćby w postaci korzystania z potraw pańskich.

Franciszka drobiazgowo opisuje zwyczaje podawania czterech dań w dni powszednie, siedmiu w niedziele, a w święta — dwunastu. Pisze z rozbrajającą szczerością, że apetyczne sztuki drobiu leżały tylko na stosie mięsiw na półmiskach, pod nimi były tylko połacie wieprzowiny czy wołowiny... Niemniej, po wybraniu smacznych kęsków (z wierzchu półmisków) przez państwo, wszystko stale było zjadane przez liczny dwór.

Utrzymanie tak dużego dworu było nie lada problemem. Otrzymywali od 300 do 1000 florynów rocznie a sama hrabina kontrolowała stan spiżarń i doglądała wydawania oraz uzupełniania zapasów.

Porządek dnia w zamku był po części nieomal spartański. Dziewczęta wstawały latem o 6 rano, w zimie o siódmej. Wszystkie spały w jednej komnacie z guwernantką — Francuzką. Każda miała żelazne łóżko z firankami, jedną poduszkę i koc; tylko najstarsza, Basia, miała 2 poduszki i jedwabną kapę na łóżko.

Po modlitwie (odmawianej po francusku) rozpoczynały się lekcje. Nadworny kapelan uczył katechizmu, następnie polski nauczyciel nauczał czytania i pisania. Dwie starsze siostry, Basia i Franciszka miały lekcje francuskiego, złożone przeważnie z nauki słówek, dialogów i uczenia się zgrabnych anegdot i opowiadań.

O ósmej rano dziewczęta szły witać rodziców, z którymi spożywały śniadanie. Wszyscy po śniadaniu udawali się do kaplicy, gdzie w czasie nabożeństwa odmawiali głośno modlitwy po łacinie. Dalsze lekcje odbywały się po nabożeństwie.

Nauka niemieckiego, ćwiczenia, dyktanda oraz lekcje gry na szpinecie. Uczył Niemiec, kapelmistrz dworskiej orkiestry, za co pobierał 300 florynów rocznie.

Więcej czasu, niż lekcje, bo często 2-3 godziny, zajmowało układanie kunsztownych i skomplikowanych wówczas fryzur. Nadworny fryzjer kolejno upinał włosy czterem siostrom Krasińskim, a Madam czytała im w tym czasie na głos powieści francuskie.

W południe, po „Aniele Pańskim", rodzice zasiadali z córkami i dworem do obiadu. Przeważnie trwał on co najmniej dwie godziny. Spacer w parku lub wyszywanie i haftowanie dla kościoła w Piotrowicach wypełniało czas do wieczerzy, która była o siódmej. Gra w karty, czasem hrabia czytał głośno stare kroniki rodzinne a kapelan gazety warszawskie, przywożone raz w tygodniu przez szambelana. Takie były wieczorne rozrywki na zamku w Maleszowie. W karnawale tylko i przy specjalnych okazjach, odbywały się tańce, gry salonowe i grała dworska kapela.

Jak widzimy, życie w połowie siedemnastego wieku nie było zbyt urozmaicone, toczyło się spokojnie, a w naszej — współczesnej — opinii, to nawet monotonnie. Jednakże dalsze szczegóły pamiętnika Franciszki Krasińskiej przejawiają sporo ciekawych przygód. Wesele najstarszej siostry Basi, wyjazd Franciszki do Warszawy i poznanie tam przez nią jednego z synów króla Augusta III, Karola, tworzą z pamiętnika zajmujący, obyczajowy romans.

26-letni książę Karol jest przedmiotem westchnień Franciszki już od pierwszych kart pamiętnika, kiedy po opisie rodzinnego dworu, poświęca również nieco miejsca stosunkom panującym w Polsce. Zadziwia czasem bystra opinia młodziutkiej hrabianki o słabym i niedołężnym królu, o jego ministrze, Brühlu, właściwym rządcy w Polsce, a nawet przytacza ona zdanie, że „nam potrzeba Fryderyka Wielkiego — silną głowę i żelazną wolę"...

Franciszka z zapałem pisze o księciu Karolu, jako o kandydacie na króla polskiego. Z niechęcią wyraża się o innym kandydacie, Stanisławie Poniatowskim. Trudno sądzić, czy to serduszko każe hrabiance sprzyjać młodemu Sasowi, czy też było to ogólne zdanie członków rodziny, z wujem, księciem Lubomirskim, wojewodą lubelskim na czele.

Z ufnością oczekuje wieści obwołania Karola księciem Kurlandii. Kiedy nadchodzi wiadomość, że rzekoma jego choroba była powodem odroczenia ceremonii, błazen nadworny Mateńko, wypowiada prorocze słowa: „Zły to omen. Jak korona książęca się wyśliznęła, tak i królewska umknie..."

Wzorem olbrzymiej większości panienek tej epoki, Franciszka jest bardzo sentymentalna, uczuciowa i sprawa zamążpójścia ukochanej siostry Basi za starostę radomskiego, trzydziestoletniego Michała Swidzińskiego, syna wojewody radomskiego, zapełnia jej serce i wiele stron pamiętnika.

Przyjazd starosty z ojcem, który formalnie oświadcza się w imieniu syna, według przyjętych form, przyjęcie oświadczyn przez rodziców Basi, opisane jest w drobnych szczegółach, jak również jedyna rozmowa Swidzińskiego z Basią: „Czy wolno mi wierzyć, że waszmościanka przychylna jest mym zamiarom?" — na co Basia odparła drżącym głosikiem: „Wola mych szlachetnych rodziców zawsze jest dla mnie świętym prawem".

Zaś narzeczony, który żył przez pewien czas na dworze Stanisława Leszczyńskiego w Luneville, nosił się z polska i mówił tylko po polsku, przeplatając łaciną — „jak starzy" — zdaniem i ku zdziwieniu Franciszki. Tańczył z narzeczoną tylko poloneza, po czym, po wymianie pierścionków, padli do nóg rodzicom, którzy ich pobłogosławili.

Franciszka nie mogła ukryć przejęcia i wzruszenia ceremonią i wśród łez usłyszała głos Mateńki — „Niech jejmościanka nie płacze, mniej jak za rok będzie kolej i na jejmościankę..."

Hrabianka kończy relację z przebiegu dnia zaręczyn Basi retorycznym pytaniem: „Za rok? ...nie, to byłoby za wcześnie, ale za kilka lat może?..."

Tadeusz Ziarski

(Ciąg dalszy:
„Czarna polewka
dla Kochanowskiego")

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

WIELKANOC 1956

NASZE SPRAWY

Wokół „uwagi stopowej"

Szanowny Panie Redaktorze!

Widzę z artykułu pt. „Notatki" w nrze 9(453) ŻYCIA, że między autorem tego artykułu, p. J. B., a mną nadal trwa nieporozumienie, zarysowane już od kilku lat. P. J. Bielatowicz szereg już razy atakował niektóre moje artykuły i książki, ocierające się o jeden i ten sam temat, w sposób, z którego wynoszę, że mego punktu widzenia nie może zrozumieć.

Wywody p. J. B. w „Notatkach" są bardzo interesujące i w lwiej części bardzo słuszne. Wybaczy mi jednak ich autor, że je nazwę odpowiedzią nie na temat. Rzecz prosta ani mi się nie śniło kwestionować tego, że język czeski jest językiem słowiańskim, zarówno jak tego — co wiadome jest każdemu polskiemu maturzyście — że Czechy są kulturalnie starsze od Polski i że czeszczyzna wywarła ogromny wpływ na polski język. Nawiasowa uwaga na temat słów p. J. B.: „gdyby bowiem Polonus znał język czeski"; nieraz w Czechach, a zwłaszcza na Morawach bywałem, trochę po czesku czytałem i mam o nowoczesnej czeszczyźnie pojęcie nienajgorsze.

Jeśli miałbym w stosunku do wywodów p. J. B. jakieś zastrzeżenia, to tylko w punktach następujących: 1) Teoria o słowiańskim pochodzeniu wyrazu „pług" nie brzmi w ten sposób, że jest to „polski wyraz w niemczyźnie", lecz że jest to „słowiański wyraz w językach germańskich" (także i np. w języku angielskim: „plough"). Nie jest to bynajmniej teoria przyjęta powszechnie. Historycznie, jest faktem, że we wczesnym średniowieczu orano w Polsce głównie sochą i że dopiero kolonizacja na prawie niemieckim przyniosła szersze rozpowszechnienie pługa. 2) Wyrazów o źródłosłowie słowiańskim jest w języku polskim oczywiście bez porównania więcej, niż wyrazów pochodzenia niemieckiego. Trzeba się jednak umówić, co się uważa za wyraz: czy tylko źródłosłowy, czy i wyrazy pochodne. 3) Twierdzenie, że autorem pieśni „Bogurodzica" jest św. Wojciech nie jest oparte na danych językoznawczych, lecz na tradycji i legendzie. To właśnie językoznawcy na podstawie danych filologicznych tę legendę kwestionowali, i to pomimo bezspornych w tej pieśni — jak w całej polskiej średniowiecznej literaturze religijnej — elementów czeskich. Ostatnio zresztą, opinie filologów (J. Birkenmeyera, R. Jakobsona) zarówno jak historyków (Dvornika) odnoszą się do tej tradycji bardziej pozytywnie.

Wszystko to jednak nie ma żadnego związku z moim zaatakowanym przez p. J. B. artykułem. Protestując przeciwko zniekształcaniu języka polskiego przez nowotwory emigracyjne w rodzaju „uwagi stopowej" i komunistyczno-krajowe w rodzaju „radziecki" i „całościowy", nie mówiłem ani o języku w ogóle, ani nawet o języku literackim w ogóle (obejmującym wszak także i mowę poezji, dramatu, Pisma Świętego itd.), lecz o bardzo specyficznej odmianie języka literackiego, jaką jest język potoczny warstwy inteligencji, oraz język publicystyki, dziennikarstwa i korespondencji urzędowej.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą — choć p. J. Bielatowicz nie chce tego uznać — że w roku 1918 mieliśmy nie jeden, ale dwa takie języki biurokratyczno - dziennikarsko - inteligenckie. Jednym z nich mówiono i pisano w Królestwie, na Ziemiach Wschodnich, w Zaborze Pruskim oraz wśród najwyższej elity intelektualnej Krakowa, Lwowa i w ogóle zaboru austriackiego. Drugim — posługiwano się w szerokiej masie galicyjskiej inteligencji, w galicyjskiej korespondencji urzędowej, oraz na łamach galicyjskiej prasy. Różnice nie były duże, nie były jednak także i błahe. Nie ograniczały się one tylko do słownika i składni: zaznaczały się one także i w pisowni (np. używanie „z" zamiast ogólnopolskiego „s": „senzacja", „ofenzywa", albo pisanie i wymawianie „szemat" zamiast „schemat").

Różnice te nie były wynikiem odrębnej, ale samodzielnej ewolucji, podobnej do tej, jaka stworzyła różnice między pisownią amerykańską i angielską („labor" i „labour", „honor" i „honour", „catalog" i „catalogue", „check" i „cheque" itp.). Były one wynikiem wpływu obcego.

Galicja była dzielnicą, która najdłużej (poza Kaszubami, Inflantami i Mohylowszczyzną) zaznała obcego ucisku, chcącego ją wynarodowić (1773-1866), a dostała się pod nacisk germanizacyjny niemal wprost z epoki saskiej, a więc nie przeżyła odrodzenia stanisławowskiego, już nie mówiąc o przemianach epoki napoleońskiej i prawie nie posiadała w chwili zaboru nowoczesnej warstwy inteligencji miejskiej. W ciągu 93 lat ucisku germanizacyjnego pojawiła się w Galicji warstwa nowa, napływowa, w postaci biurokracji austriackiej, pochodzenia przeważnie niemieckiego, lub czeskiego. Warstwie tej kazano po roku 1866 nauczyć się po polsku i zacząć w tym języku urzędować. Warstwa ta spolszczyła się z biegiem czasu, zarówno przez spolszczenie się w drugim czy trzecim pokoleniu rodzin napływowych, jak przez przyjęcie w swoje szeregi licznego polskiego narybku, przeważnie synów chłopskich. Pozostała ona jednak odrębnym słojem w życiu polskim, zachowującym wiele cech koncepcji urzędniczej austriackiej, zachowującym także i właściwość mówienia źle po polsku. Warstwa ta wycisnęła silne piętno na całości życia galicyjskiego, a po roku 1918 wycisnęła pewne piętno także i na całości życia polskiego. Piętno to stanowi wpływ niepożądany. Poziom polszczyzny polskiej inteligencji, prasy itd. obniżył się pod tym wpływem. Co gorsza, wpływ ten wyraził się w sposób niepożądany także i w dziedzinie duchowej.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że zabory pruski i rosyjski nie miały swojego problematu wynarodowienia i duchowego pół-wynarodowienia, a także, że nie miały swoich germanizmów i rusycyzmów w języku. Tylko że w tamtych zaborach nie wyrosła odrębna warstwa społeczna, związana z państwem zaborczym, a kwiąca mimo tego w życiu polskim, swej duchowej odrębności nie świadoma i swych odrębnych cech skłonna bronić. A jeśli idzie o obce naleciałości w języku, to w tamtych zaborach nie stanowiły one uznanego systemu. Jeśli się trafiały, to z nimi walczono, wstydzono się ich i starano się ich pozbyć, toteż szybko znikały. Natomiast w prasie i mowie potocznej byłego zaboru austriackiego obstawano przy nich, walczono o prawo utrzymania austriackich biurokratycznych germanizmów w języku polskim na stałe.

W ciągu dwudziestolecia niepodległości ułożył się między mową ogólnopolską, a mową inteligencji urzędniczej galicyjskiej pewnego rodzaju kompromis, polegający na przyjęciu, lub dopuszczeniu do użytku powszechnego szeregu form językowych, używanych przez tę ostatnią, przy równoczesnym niedopuszczeniu germanizmów co jaskrawszych. Np. zaczęto uważać „problem" za równouprawniony z „problematem", „cytat" z „cytatą", a nawet „krawatkę" (die Kravatte) z „krawatem", pogodzono się z neologizmami „wykorzystać" (ausnützen) „zaistnieć" i „młodzieżowy", a nawet całkowicie wyrugowano dawniej ogólnie przyjęte łacińskie „ministerium" na rzecz neologizmu, wzorowanego na Czechach i Rosji: „ministerstwo". Ale oparto się „pojedynczemu kapeluszowi", „ofenzywie", „Ministerstwu dla Spraw Zagranicznych" oraz zwrotom w rodzaju „ubrać płaszcz" i „szukać za szpilką".

Ten kompromis pociągnął za sobą postawę pewnej niedbałości w traktowaniu polszczyzny, a m. in. sprawił, że wtargnęło do niej coś z niemieckiej i czeskiej skłonności do lekkomyślnego tworzenia coraz to nowych, niepotrzebnych neologizmów. Bo jeśli dobre jest „zaistnieć" i „młodzieżowy", to dlaczego nie ma być dobre „uwaga stopowa", „radziecki" i „własnościowy"? A to wcale nie jest sprawa błaha! Proszę przeczytać pierwszą lepszą gazetę krajową i zobaczyć jak zachwaszczony jest jej język żargonem komunistycznym. Odporność na ten żargon byłaby w narodzie naszym większa, gdyby odporności tej nie stępił poprzednio jej brak wobec biurokratycznego żargonu austriackiego. A czystość mowy ojczystej to ważna rzecz. To ważny czynnik czystości i zdrowia narodowej cywilizacji.

Jeśli idzie o język inteligencko - biurokratyczno - dziennikarski czeski, posiada on te same cechy co polszczyzna urzędników austriackich w byłej Galicji, ale w nieskończenie jeszcze większym stopniu. Jest to po prostu słowiańska replika mowy inteligencji wiedeńskiej. Jedną z jej właściwości jest przesadne zamiłowanie do ultra-pseudo-rodzimych neologizmów: „divadlo" zamiast „teatr" itp., dokładnie jak w Niemczech „Fernsprecher", „Fernruf", „Fahrkarte", „Kraftwagen" itp. Te neologizmy to wcale nie jest oczyszczanie języka. To jest operacja sztuczna, która mowę literacką sprowadza na poziom bezbarwnej i banalnej mowy dziennikarskiej. W dodatku, także i dawniej, przed nowoczesnym odrodzeniem czeskim, i przed dwuwiekową epoką zamarcia życia czeskiego po Białej Górze, język czeski silnie ulegał niemczyźnie, podczas gdy my silniej ulegaliśmy łacinie. Na przykład my mamy nieraz szyk wyrazów podobny do łacińskiego, a oni podobny do języków germańskich („ulica Nowa" i „Nowa ulice").

Na zakończenie sprostowanie osobiste. Pan J. B. uważa mnie za warszawiaka i obraża się na mnie, jako na warszawiaka, w imieniu Krakowa. Otóż, mimo że w sumie mieszkałem w Warszawie 17 lat, nie jestem warszawiakiem. Moją ziemią rodzinną jest Kielecczyzna, ziemia mojej matki i ziemia mojego dzieciństwa. Nigdy nie nabrałem cech mazowieckiej wymowy. Stosuję kryterium profesora Nitscha: nigdy nie mówię jak warszawiacy „rok jelenia" i „wos i kon", natomiast mówię jak Małopolanie i Wielkopolanie „tagem się zmęczył" i „rog jubileuszowy".

A cóż to jest Kielecczyzna? To jest odcięta od Krakowa przez kongres wiedeński część Ziemi Krakowskiej. Kielczanin to jest w szerszym pojęciu krakowianin.

Jesteśmy więc ziomkami i nie mamy się o co gniewać. Nie gniewam się na Kraków, w którym dziesiątko często spędzałem, choć prawie nigdy nie bywałem w Warszawie — i także i p. J. B. nie ma co się gniewać na moje Kielce, czy tym bardziej na Bogu ducha winną Warszawę.

Ale biurokracji austriackiej niech p. J. B. nie broni. Ona na to nie zasługuje.

POLONUS

ZJAZD I UCHWAŁY IPAK

W lutym odbyło się w Londynie doroczne zebranie Rady Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej pod przewodnictwem prezesa p. J. Balińskiego-Jundziłła.

Obrady zagaił, zachęcając do dalszej pracy, ks. infułat B. Michalski.

Po wyczerpaniu porządku obrad zebrani uchwalili wysłanie depeszy do Jego Świątobliwości, Ojca Świętego Piusa XII treści następującej:

„Rada Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej zebrana na dorocznym zjeździe w dniu 20 lutego 1956 roku, w przededniu obchodzonych radośnie przez wiernych całego świata osiemdziesiątych urodzin Jego Świątobliwości Papieża Piusa XII, śle do stóp tronu Piotrowego imieniem katolików polskich w Wielkiej Brytanii wyrazy synowskiego oddania, czci i szczególnej wdzięczności za pełne ojcowskiej troski i miłości stanowisko Ojca Świętego wobec naszego narodu wydanego na łup bezbożnemu komunizmowi, wyrażone też ostatnio tak dobitnie w Liście do Episkopatu i wiernych Polski, którego słowa zapadły głęboko w dusze Polaków w całym świecie."

Powzięto też następujące dyrektywy w myśl założenia programowego i stałej dotychczas działalności:

„Akcja Katolicka w Wielkiej Brytanii nie ustanie w modlitwach ani też w walce o wolność Kościoła katolickiego w Kraju."

„Jednym z zadań Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii jest współdziałanie w katolickim i polskim wychowaniu młodego pokolenia, aby nie zatraciło ono największej swej wartości, jaką jest przynależność do własnego narodu, któremu króluje Maryja, Matka Boża."

Prezesem IPAK jest nadal p. J. Baliński-Jundziłł, asystentem kościelnym ks. mgr K. Krzyżanowski.

BABY WIELKANOCNE

BODAJ wszyscy pełnoletni Polacy na obczyźnie wypowiedzą w Wielką Niedzielę zdanie: „Nie było to jak polskie baby wielkanocne!" — „A mazurki?" — doda zapewne sentencjonalnie dziaduś lub babunia. — „A wędliny?" — dorzuci ktoś czerwony na twarzy. I niebawem posypie się długa kolejka smakowitości narodowych. Zwolna przejdzie się na baranka z lukru i — rzecz jasna — na bazie i palmy wileńskie.

Niewątpliwie, zostaliśmy wypędzeni z raju i to z raju o dwu kondygnacjach: z ziemi ojczystej i z kraju lat dziecinnych. Będziemy zapewne — mimo wszystko — zazdrościć tym, którzy zostali nad Wisłą, nad Wartą, nad Dunajcem. A oni?

W Polsce nie będzie zapewne dorosłego człowieka, który w Wielką Niedzielę nie wypowie zdania: „Nie było to jak nasze dawne baby wielkanocne!" I mazurki i wędliny, i baranki. We wszystkich domach będą tylko z pewnością bazie, bo barankom z lukru wojnę wypowiedział ustrój polityczny. Drzewa i kwiaty utrzymują się najdłużej w ludzkiej tradycji. Palma wielkanocna w postaci gałązki oliwnej czy iwy, choinka na Boże Narodzenie, sitowie i gałęzie kwitnących kasztanów na Zielone Święta, ziele na Wniebowzięcie. Laur, mirt, rozmaryn, lilia, róża, goździk, fiołek związane są nierozerwalnie z głównymi sprawami ludzkiego żywota. Nie tylko ze sprawami prywatnymi, skoro na przykład czerwony goździk w dniu 1 maja oznacza solidarność z ruchem polityczno-społecznym. W dziejach były stronnictwa białych i czerwonych róż, lilij, kwiatu pomarańczy. Rola kwiatów w życiu ludzkości domaga się ogromnej monografii.

Ale wróćmy do bab wielkanocnych. Baby pożera nie obcość, ale ząb czasu. To czas, nie obczyzna, wypowiedział wojnę babom: czas w znaczeniu epoki oraz czas prywatny, osobiście ludzki. Epoka nie pozwala na rozwijanie złożonego kunsztu przyrządzania potraw, z powodu braku narzędzi, środków i urządzeń do tego celu, osobisty czas, jaki posiada przeciętny człowiek, nie wystarcza dziś na długotrwały rytuał kuchenny. Potrawy, pieczywo i słodycze, wymagające długiego przygotowania i złożonych zabiegów, wywędrowały dziś, zgodnie z duchem epoki, z pieców i kuchen prywatnych do fabryk żywności. Babę wielkanocną, mazurek i wędzony ozorek można dziś jeszcze nabyć w sklepach. Kto by chciał te rzeczy przyrządzać w domu, ten cofa wskazówki zegara.

ZMIENNOŚĆ i mijanie różnią doczesność od wieczności. Człowiek nie lubi zmian, boi się ich, cierpi z ich powodu. Człowiek bowiem tęskni do bezczasowej, niezmiennej wieczności. Ale kto kocha i ceni życie, powinien polubić przede wszystkim zmienność. Bo bez niej nie byłoby życia. Życie jest ustawiczną zmianą, nieprzerwanym mijaniem. Człowiek szczęśliwy, to ten, który rozumie konieczność zmian. Ludzie nieszczęśliwi, to ci, którzy wiecznie żałują tego, co minęło, co było inaczej.

Baba wielkanocna jest symbolem mijania. Przechodzą, zmieniają się i bezpowrotnie giną w falach przeszłości nie tylko różne ludzkie potrawy, napoje, smaki, ozdoby, książki, zwyczaje, zabawy, nawet dzieła sztuki, mimo że sztuka jest niby wieczna, ale i całe cywilizacje. Nikt już dziś nie jada wołu z rożna, nie spija prząśnych miodów, nie nosi czamary ani krynoliny, nie czyta romansów baronowej Krüdener, nie gra w palcaty ani w faraona, nie roni łez nad cierpieniami młodego Wertera. Uśmiechamy się tylko do tych spraw i oglądamy ich ślady w muzeach, galeriach i książkach, z takim samym zdziwieniem i niedowierzaniem jak szkielety pterodaktyla albo mamuta. Już zwolna przechodzą do przeszłości stroje ludowe i bogate zwyczaje przeróżnych swatów, czepin, wianków, rękawek.

CZY TO DOBRZE, czy źle? Ani jedno ani drugie. To po prostu konieczne. Wrogiem zwyczajów, ozdób i strojów nie jest człowiek, ale znowuż czas. Wykonanie stroju ludowego czy skrzyni krakowskiej wymaga wiele czasu, przeliczanego dziś na godziny roboczizny. Czas ludzki okrutnie podrożał. Kiedyś dziewczęta skubały tygodniami gęsi i przędły miesiącami na krosnach. Lniane płótno wyrabiało się sposobem domowym. Dziś prawie wszystko, co człowiekowi potrzebne, wytwarza, o ileż taniej i szybciej, fabryka. Któż by własnoręcznie lepił garnki? Nie święci dzisiaj garnki lepią i nawet nie zwykli śmiertelnicy.

Także i zwyczaje wymagają czasu i mnóstwa trudno dostępnych i kosztownych przedmiotów. Wesela wiejskie trwały do niedawna przez trzy dni i trzy noce i pochłaniały majątki. Zazdrosny czas zadał cios tym mitręgom.

Nie ma więc ratunku dla tak zwanej tradycji kulturalnej, wyrażającej się w przedmiotach, ozdobach i formułach. Czas jest dla niej nieubłagany.

NIE POPADAJMY jednakże w fatalizm. Człowiek żyje na ziemi po to, aby z Bożą pomocą wyzwolić się z czasu, a jego powszednią dolą jest konieczność walki z czasem, ze zmiennością, z mijaniem. Wartość człowieka mierzy się tym, o ile zdoła on wznieść się ponad czas i pozostawić po sobie dzieło, które by trwało po nim.

Tradycji materialnej próżno bronić, bo materia jest krucha i nietrwała. Ale pozostają ogromne obszary tradycji duchowej. W walce o jej zachowanie ma człowiek o wiele większe szanse. A tradycja duchowa w okresie Wielkiejnocy, to nie baba i wędlina, lecz oczyszczona dusza i dziękczynienie Bogu za chleb i sól, za ogień i wodę i olej kapłański, za dobra, bez których nie byłoby życia i jasności na jego drogę.

Jeżeli zaś nie ma pod ręką bazi i palm wielkanocnych, jest zawsze „drzewo najszlachetniejsze ze wszystkich: żaden las nie wydał podobnego co do liści, kwiatów i owocu".

J. B.

NIESTAŁOŚĆ RZĄDÓW WE FRANCJI

W „Figaro Littéraire" Pierre Audiat, omawiając świeżo wydaną książkę księcia de Castries o jego wybitnym przodku z XVIII wieku, marszałku de Castries, żołnierzu i mężu stanu, stwierdza na jej podstawie, że za Ludwika XV i Ludwika XVI ministrowie zmieniali się we Francji bardzo często. Dotyczy to w szczególności dwóch najważniejszych resortów: wojny i finansów. W okresie 46 lat, od roku 1743 do 1789, Francja miała jedenastu ministrów wojny, a piętnastu ministrów finansów; dwa razy funkcję tę pełnił słynny Necker. Średnia więc długość urzędowania wynosiła 3 do 4 lat. Za Ludwika XIV sprawy przedstawiały się dużo lepiej — Colbert był prawie „wiecznym" ministrem — ale później popsuło się to gruntownie i Audiat konkluduje, że to nie republika dopiero — jak twierdzą rojaliści — stworzyła we Francji niestałość rządów i ministrów. Nie zaznacza jednak Audiat, że za republiki trwanie rządów i ministrów stało się jeszcze dużo krótsze, zwłaszcza w ostatnich czasach; za coś w rodzaju cudu uznanoby, gdyby jakiś rząd IV Republiki przetrwał już nie 4 lub 3 lata, ale choćby 2 lata.

By pognębić rojalistów, Audiat zaznacza, nie bez słuszności, że gra różnych klik personalnych w ustroju monarchicznym jest nieskończenie bardziej skomplikowana i subtelna, niż gra stronnictw w ustroju republikańskim, którą z grubsza można z góry przewidzieć. Nasuwa się uwaga, że intrygi personalne odgrywają także wielką rolę w życiu politycznym republiki francuskiej — poza tym zaś, że uwagi Audiata odnoszą się raczej do monarchii absolutnej, niż do monarchii w ogóle.

NUMER OBECNY ŻYCIA,
NR 13/14 (457/8),
JEST NUMEREM NA NIEDZIELĘ
DRUGĄ MĘKI PAŃSKIEJ
(NIEDZIELA PALMOWA)
i
NIEDZIELĘ WIELKANOCNĄ,
A WIĘC WYDANYM W PODWÓJNEJ
OBJĘTOŚCI NUMERU ZWYKŁEGO.

NASTĘPNY NUMER UKAŻE SIĘ
Z DATĄ 8 KWIETNIA 1956.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kulakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Slapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks K. Stolarek, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 3 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734